

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ANATOL FRANCE

Zazulka

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ PIERWSZY

który mówi o zmianach na obliczu ziemi i jest jednocześnie przed- mową opowiadania

Tę część lądu, gdzie rozciągało się ongiś księstwo Żyźnych Pól, zalewa dzisiaj morze. Z miasta i zamku nie pozostało ani śladu. Powiadają jednak, iż o dobrą milę od brzegu widać w pogodne dni olbrzymie pnie drzew stojące nieruchomo w głębi wody. Zakątek wybrzeża, służący za posterunek celnikom, zowią po dziś dzień „Warsztatem Majstra Fastrygi”. Nie ulega wątpliwości, że nazwa ta jest pamiątką po pewnym mistrzu krawieckim, o którym będzie mowa w moim opowiadaniu. Morze, które corocznie wgrzyza się dalej w ląd, zagarnie wkrótce i ten skrawek ziemi, tak dziwacznie nazwany.

Takie przemiany zgodne są z prawami przyrody. Z biegiem wieków góry zapadają się, a morze unosi w krainę chmur i lodowców muszelki i koralowe krzewy.

Nic nie trwa wiecznie. Lądy i morza zmieniają się bez ustanku. Tylko wspomnienie istnień i kształtów minionych trwa przez wiele stuleci i pozwala odtworzyć dawno ubiegłe zdarzenia.

Opowieść moja o księstwie Żyźnych Pól przeniesie was w zamierzchłą przeszłość. Oto jej początek:

„Okrywszy złote włosy czarnym czepcem naszywanym perłami, hrabina Srebrnych Wybrzeży...”

Zanim jednak opowiem wam, co się stało dalej, proszę na wszystko, żeby osoby rozsądne i poważne nie brały do ręki tej książki. Nie dla nich napisałem moją „Zazulkę”. Nie dla istot trzeźwych, które gardzą błahostkami i pragną, aby je wciąż pouczano.

Pragnę ofiarować tę opowieść ludziom, których umysł jest młody i lubi czasem poswawolić. Tylko ci, którym wystarczają niewinne rozrywki, przeczytają „Zazulkę” od początku do końca. Do nich też zwracam się z prośbą, żeby, jeśli mają małe dzieci, zapoznali je z moją baśnią. Chciałbym, aby opowiadanie podobało się także młodym chłopcom i dziewczętom, ale – prawdę mówiąc – nie śmiem się tego spodziewać. Zapewne uznają je za nedorzeczne i „Zazulka” pozostanie bajką dla dzieci dawnych czasów. Któregoś dnia przeglądałem bibliotekę mojej dziewięcioletniej sąsiadeczki. Znalazłem tam wiele książek o mikroskopach i zwierzkorzewach, a także kilka powieści naukowych. Na chybił trafił otworzyłem jedną z nich i wzrok mój padł na następujące zdanie: „Mątwą, czyli *Sepia officinalis*, jest mięczakiem, głowonogiem, którego ciało zawiera gąbczasty organ, zbudowany z chityny i węglanu wapnia”. Moja mała sąsiadeczka uważa, że ta powieść jest ogromnie interesująca. Otóż błagam ją na wszystko, aby nigdy nie czytała „Zazulki”. Spaliłbym się ze wstydu, gdybym ujrzał swoją bajkę w rękach tak uczonej osoby.

ROZDZIAŁ DRUGI

z którego można się dowiedzieć, co biała róża oznajmiła hrabinie Srebrnych Wybrzeży

Okrywszy złote włosy czarnym czepcem naszywanym perłami i opasawszy się wdowim sznurem, weszła hrabina Srebrnych Wybrzeży do kaplicy zamkowej, by jak codziennie pomodlić się za duszę swego męża, zabitego w pojedynku przez irlandzkiego olbrzyma.

Nagle na poduszce swego klęcznika ujrzała białą różę. Lica jej zbladły, wzrok zaćmił się, głowa opadła w tył, a ręce załamały się boleśnie. Wiedziała bowiem, że dzień, w którym hrabina Srebrnych Wybrzeży znajduje białą różę na klęczniku, jest dniem jej śmierci.

Dowiedziawszy się, że nadeszła godzina jej rozstania ze światem, gdzie w tak krótkim czasie została żoną, matką i wdową, pospieszyła do komnaty, w której pod opieką niewiast służebnych spał jej syn Jantarek. Chłopczyna miał dopiero trzy lata. Długie rzęsy rzucały przesłiczne cienie na jego policzki, a usta podobne były do kwiatu. Był jeszcze tak maleńki i zarazem tak piękny, że spojrzawszy na niego hrabina załża się łzami.

– Synku mój jedyny – szeptała boleśnie – dziecię moje najdroższe, nie będziesz mnie znał, mój obraz zniknie na zawsze dla twych słodkich ocząt. A przecież wykarmiłam cię własną piersią i z miłości dla ciebie odmawiałam swej ręki najznakomitszym rycerzom.

To powiedziawszy przycisnęła do ust złoty medalion zawierający jej miniaturę i promień jej włosów i zawiesiła go na szyi synka. W tej chwili łza spadła z oczu matki na twarzyczkę chłopczyny, który poruszył się niespokojnie w kolebce i zaczął trzeć powieki piąstkami. Hrabina spiesznie odwróciła głowę i wybiegła z komnaty. Bo jakże jej oczy, mające wkrótce zagasnąć, mogły znieść blask tamtych umiłowanych źrenic, przez które zaczynała przezierać budząca się do życia dusza.

Hrabina kazała osiodłać rumaka i udała się do zamku Żyźnych Pól w towarzystwie koniuzszego Szczerogęby.

Księżna Żyźnych Pól objęła serdecznym uściskiem hrabinę Srebrnych Wybrzeży.

– Najdroższa, jakież szczęśliwy los sprowadza cię w moje progi?

– Zaprawdę los, który mnie przywiódł tutaj, nie jest szczęśliwy. Posłuchaj mnie, przyjaciółko moja. Weszłyśmy w śluby małżeńskie nieledwie w tym samym czasie i owdowiałyśmy wskutek tych samych przyczyn. W dzisiejszych rycerskich czasach najlepsi giną najwcześniej, a mąż chcący żyć długo musiałby chyba przywdziać habit mniszy. Gdy urodziłaś Zazulkę, ja od dwóch lat byłam już matką. Zazulka twoja jest piękna jak jutrenka, a mój Jantarek jest najlepszym chłopaczkiem pod słońcem. Wiem, że mnie kochasz, jak ja Kocham cię. Dowiedz się zatem, że znalazłam białą różę na poduszce mego klęcznika. Godziny moje są policzone. Tobie powierzam mojego syna.

Księżna Żyźnych Pól wiedziała, co oznajmia hrabinom Srebrnych Wybrzeży kwiat białej róży. Płacząc przyrzekła wychować Jantarkę i Zazulkę, tak jakby byli rodzeństwem, i nie czynić najmniejszej między nimi różnicy.

Obie matki, splecione uściskiem, pochyliły się nad kolebką, gdzie za lekką, błękitną jak niebo zasłoną spała maleńka Zazulka. Oczy jej były zamknięte, ale poruszała przez sen rączkami, a gdy rokladała paluszki, zdawało się, że z każdego rękawka koszulki wymyka się pięć różowych promyczków.

- Jantarek będzie jej bronił – rzekła hrabina Srebrnych Wybrzeży.
- Zazulka będzie go kochała – powiedziała księżna Żyznych Pól.
- Będzie go kochała – powtórzył dźwięczny, cieniutki głosik.

Księżna poznała głos domowego skrzata, który od lat mieszkał pod kamienną płytą paleniska.

Wróciwszy do zamku hrabina Srebrnych Wybrzeży rozdała dworcom swoje klejnoty, kazała namaścić się pachnidłami i odziać w najprzedniejsze szaty, by godnie uczcić ciało, które ma zmartwychwstać w dniu Ostatecznego Sądu. A potem położyła się na łożu i zasnęła na wieki.

ROZDZIAŁ TRZECI

w którym rozpoczyna się miłość Zazulki, księżniczki Żyznych Pól, i Jantarka, hrabiego Srebrnych Wybrzeży

Wbrew zwykłemu ludzkiemu losowi, który sprawia, że piękność i dobroć nie chodzą w parze, pani Żyznych Pól była równie dobra jak piękna, tak piękna, że książęta krwi, ujrawszy jej podobiznę, spieszili prosić o jej rękę. Lecz księżna odpowiadała niezmiennie: „Mam tylko

<rys 1>>

jedną duszę, więc jednemu tylko mężowi mogłam ślubować wiare”.

Ale po pięciu latach wdowieństwa zrzuciła czarny kwef i żałobne szaty aby nie tłumić radości swoich najbliższych, aby można się było weselić i śmiać w jej obecności. Dobra jej obejmowały rozległe ziemie pełne ponurych wydm pokrytych wrzosem, jezior obfitujących w ryby (niektóre z nich miały czarodziejską moc) i gór wznoszących się wśród straszliwych pustkowi, kryjących w swym wnętrzu podziemne mieszkania karzełków.

Rządząc swym państwem księżna stosowała się do rad pewnego starego mnicha, który uszedł z Konstantynopola, a napatrzywszy się w życiu wielu gwałtom i wiarołomstwom, nie ufał zbytnio cnotliwości ludzi. Mnich ten żył w wieży zamkowej w otoczeniu ksiąg i ptaków i nie ruszając się stamtąd, udzielał rad opartych na kilku zaledwie mądrych maksymach. Mówił mianowicie:

„Nie należy wprowadzać w życie prawa, które poszło już w zapomnienie: trzeba ustępować przed żądaniami poddanych ze względu na możliwość rozruchów, ale ustępować powoli, gdyż, jeśli się wprowadzi jedną reformę, lud natychmiast zażąda drugiej: upadek władców wywołuje zarówno zbytnia uległość, jak i zbyt długi opór”.

Księżna chętnie przyzwalała na wszystko, bo nie znała się wcale na polityce. Serce jej było pełne współczucia. Nie mogąc wszystkich ludzi darzyć szacunkiem, litowała się nad tymi, którzy mieli nieszczęście być niegodziwcami. Wspomagała na wszelkie sposoby biedaków, odwiedzała chorych, pocieszała wdowy i brała pod opiekę ubogie sieroty.

Wychowywała Zazulkę z przedziwną roztropnością. Zaszczepiwszy w sercu dziecka przekonanie, że największą radością jest czynienie dobra, nie potrzebowała nigdy odmawiać jej żadnej przyjemności.

Księżna dotrzymała wiernie obietnicy danej nieszczęsnej hrabinie Srebrnych Wybrzeży. Dla Jantarka była najlepszą matką i nigdy nie czyniła najmniejszej różnicy między nim a Zazulką. Dzieci wzrastały razem i Jantarek lubił przybraną siostrzyczkę, chociaż uważał, że jest

dla niego trochę za mała. Pewnego razu, kiedy byli jeszcze zupełnie maleńcy, Jantarek podszedł do dziewczynki i zapytał :

– Czy chcesz się bawić ze mną?

– Chcę – odpowiedziała Zazulka.

– Będziemy lepić babki z piasku – rzekł Jantarek. Zaraz zabrali się do roboty, ale Zazulka nie umiała lepić babek i Jantarek uderzył ją po rączce łopatką. Zazulka krzyknęła przeraźliwie, a koniuszy Szczerogęba, który właśnie przechadzał się po ogrodzie, upomniał swego młodego pana:

– Wasza wysokość! Nie godzi się hrabiemu Srebrnych Wybrzeży podnosić ręki na białogłową.

Pierwszą myślą Jantarka było przebić koniuszego łopatką na wylot. Lecz że wykonanie tego zamiaru nasuwało trudności nie do pokonania, Jantarek poprzestał na czynności o wiele łatwiejszej : przycisnął nos do najbliższego drzewa i rozplakał się żałośnie.

Jednocześnie Zazulka usiłowała podsycić swe łyzy wciskając obie piąstki w oczy i rozpaczliwie tarła noskiem o pień sąsiedniego drzewa. Kiedy zapadła noc, dzieci wciąż jeszcze płakały, każde przy swoim drzewie. Wreszcie musiała zejść sama księżna, wzięła dzieci za ręce i zaprowadziła je do zamku. Malcy mieli czerwone oczy, czerwone nosy, policzki lśniące od łez, a wzdychali i pociągali noskami tak żałośnie, że się serce krajało. Pomimo to ze smakiem zjedli wieczerzę, po czym ułożyli się do snu, każde w swoim łóżeczku. Zaledwie jednak zgaszono świecę, z dwóch łóżeczek podniosły się równocześnie dwa maleńkie widma odziane w długie nocne koszulki i rzuciły się sobie w ramiona wśród wybuchów szalonego śmiechu.

Tak rozpoczęła się miłość księżniczki Żyznych Pól, Zazulki, i Jantarka, hrabiego Srebrnych Wybrzeży.

ROZDZIAŁ CZWARTY

który mówi o wychowaniu w ogólności i wychowaniu Jantarka w szczególności

Jantarek wychowywał się w zamku obok Zazulki i choć wiedział, że nie jest ona jego siostrą, nazywał ją pieśczośliwie tym imieniem.

Dano mu mistrzów fechtunku, jazdy konnej, pływania, gimnastyki, tańca, sokolnictwa, myślistwa, gry w piłkę i wielu innych nauk. Miał nawet nauczyciela pisania. Był to stary bakałarz, z pozoru pokorny, ale w rzeczywistości pełen niezmiernej pychy. On to nauczył Jantarka różnych rodzajów pisma, które uchodziły za tym piękniejsze, im trudniejsze były do odczytania. Jantarek nie lubił lekcji udzielanych przez starego bakałarza, toteż nie skorzystał z nich wiele, tak samo jak z wykładów pewnego mnicha, który uczył go dziwacznych formuł gramatyki. Nie mogło się chłopcu pomieścić w głowie, że trzeba uczyć się języka, którym człowiek mówi od urodzenia i który nazywa językiem ojczystym.

Jantarek najchętniej przestawał z koniuszym Szczerogębą, który zjeździł kawał świata, znał obyczaje ludzi i zwierząt, opowiadał o dalekich krajach i układał piękne piosenki, których co prawda nie umiał zapisać. Ze wszystkich mistrzów Jantarka jeden tylko Szczerogęba nauczył go czegoś, bo on jeden kochał chłopca prawdziwie, a wiemy, że tylko nauka udzielana z miłością jest coś warta. Ale zawistne okularniki – mistrz gramatyki i mistrz pięknego pisania – choć nie cierpiały się wzajemnie z całej duszy, połączyły się jednak we wspólnej nienawiści do starego koniuszego i oskarżyły go o pijaństwo.

Istotnie, Szczerogęba trochę za często zaglądał do gospody „Pod Cynowym Dzbanem”. Tam właśnie szukał zapomnienia w smutkach i tam układał swoje pieśni. Naturalnie że nie miał racji. Wszakże Homer układał jeszcze piękniejsze pieśni, a gasił pragnienie tylko wodą źródlaną. Co zaś do smutków, to wszyscy je mają i nie wino pozwala o nich zapomnieć, ale dobro, które czynimy bliźnim.

Mimo wszystko Szczerogęba był starym człowiekiem, posiwiiałym w służbie, wiernym i pełnym zasług. Obaj bakałarze powinni byli raczej osłaniać jego słabostki, zamiast donosić o nich księżnej w sposób tak przesadny.

– Szczerogęba jest niepoprawnym pijakiem, proszę księżnej pani – mówił mistrz od pisania. – Ilekroć wraca z gospody „Pod Cynowym Dzbanem”, stopy jego kreślą literę „S” na drodze. Jest to zresztą jedyna litera, którą umie napisać, proszę księżnej pani. Bo ten pijaczyna to straszny osioł, proszę księżnej pani.

A mistrz od gramatyki dorzucał:

– Szczerogęba nie tylko się zatacza, ale, co gorsza, wyśpiewuje piosenki, których składnia woła o pomstę do nieba. Ten człowiek nie ma pojęcia o regułach wierszowania, proszę księżnej pani.

Księżna Żyznych Pól miała wrodzony wstręt do nadętych mędrców i donosicieli. Początkowo robiła to, co każdy uczyniłby na jej miejscu: nie dawała ucha oszczerstwom. Lecz gdy skargi ponawiały się, uwierzyła w nie w końcu i postanowiła oddalić ze dworu Szczerogębę. Pragnąc jednak, aby wygnanie miało zaszczytne pozory, umyśliła wysłać wiernego sługę po błogosławieństwo papieskie do Rzymu. Podróż koniuszego mogła trwać bardzo długo, bo mnóstwo winiarni, nawiedzanych przez wędrownych muzykantów, dzieliło księstwo Żyznych Pól od Stolicy Apostolskiej.

Wkrótce księżna pożałowała gorzko, iż pozbawiła dzieci opieki ich najlepszego przyjaciela.

ROZDZIAŁ PIĄTY

który opisuje wyprawę do pustelni i spotkanie z okropną staruchą

Pewnego ranka w Przewodnią Niedzielę księżna wyjechała z zamku na roslym gniadoszu. Po lewej jej ręce kłusował na karym ogierze Jantarek; głowę jego rumaka znaczyła biała gwiazda. Po prawej stronie jechała na bułanku o czarnej grzywie Zazulka, trzymając w rękach różowe wodze. Podążali na mszę do pustelni w towarzystwie żołnierzy zbrojnych w kopie, a za orszakiem tłoczyła się ciżba ludzi, nie mogąc oczu oderwać od księżnej i dzieci. Zaiste, trudno wypowiedzieć, jak piękni byli wszyscy troje. Blask majestatu bił od księżnej odzianej w luźny płaszcz i zasłonę haftowaną w srebrne kwiaty, a perły zdobiące jej włosy lśniły łagodnie, harmonizując ze słodyczą jej szlachetnego oblicza. Jantarek, z rozwianymi włosami i błyszczącymi oczyma, wyglądał dzielnie, jak na przyszłego rycerza przystało. Twarzyczka Zazulki, delikatna i czysta, była rozkoszą dla oczu. Miała przepyszne jasne włosy, przepasane nad czołem przepaską z trzema złotymi guzami, spływały one na jej ramiona niby świetlisty płaszcz osłaniający jej młodość i urodę. Poczciwi ludziska patrząc na nią powiadali: „Cóż to za prześliczna panienska!”

Stary krawiec, majster Fastryga, wziął na ręce swego wnuczka Piotrusia, aby mu pokazać Zazulkę. Chłopczyk zapytał, czy księżniczka jest żywa, czy też to figurka z wosku. Nie mógł pojąć, że istotka tak biała i wiotka może być ulepiona z tej samej gliny, co on sam, ze swoją pyzată, opaloną buzią i koszulką ze zgrzebnego płótna, na wiejski sposób związaną tasiemką na karku.

Księżna życzliwie dziękowała za hołdy i pozdrowienia, ale zauważyła, że pochlebiają one zbyt dumie dzieci. Jantarek płonął rumieńcem zadowolenia, a Zazulka uśmiechała się z rozumialem. Odezwała się więc w te słowa:

- Powiedzcie mi, czemu ci ludzie witają nas tak serdecznie?
 - Dlatego, że tak należy robić – odparła Zazulka.
 - Jest to ich obowiązkiem – odparł Jantarek.
 - Obowiązkiem, powiadasz? Czemuż to jest ich obowiązkiem? – zapytała księżna.
- A widząc, że oboje na próżno szukają odpowiedzi, ciągnęła dalej:
Posłuchajcie mnie, dzieci. Od trzystu przeszło lat książe Żyznych Pól z mieczem w dłoni

<<rys 2>>

bronią tych biedaków, by mogli w spokoju siał, orać i zbierać plony swojej pracy. Od trzystu przeszło lat księżne Żyznych Pól przędą wełnę dla ubogich, odwiedzają chorych i trzymają do chrztu niemowlęta wieśniaków. Oto dlaczego .pozdrawiają nas tak życzliwie, moje dzieci.

„Muszę czuwać nad oraczami” – pomyślał Jantarek.

„Będę przędła wełnę dla biednych” – przyrzekła sobie w duchu Zazulka.

Tak gwarząc i dumając na przemian, jechali przez łąki umajone kwieciem. Na widnokręgu widniały błękitne góry o poszarpanych szczytach. Jantarek wyciągnął rękę ku wschodowi.

– Czy to jakiś ogromny puklerz stalowy błyszczący tam w oddali? – zapytał.

– To raczej klamra srebrna wielka jak tarcza księżycy – odpowiedziała Zazulka.

– To nie jest ani puklerz stalowy, ani klamra srebrna – odrzekła księżna. – To jezioro błyszczące w promieniach słońca. Powierzchnia jego wydaje wam się z daleka gładka jak zwierciadło, ale w rzeczywistości mać ją niezliczone fale. I wybrzeże jeziora nie jest tak równo wykrojone, jak sądzicie: porasta je trzcina o puszystych kitach i kosaciec o liściach jak miecze i kwiatach podobnych do źrenic ludzkich. Każdego poranka jezioro okrywa się mleczną zasłoną mgieł, a w południowym słońcu lśni jak rycerska zbroja. Nie należy jednak nigdy przybliżać się do niego. Mieszkają w nim boginki wodne, które wciągają przechodniów w głąb swego kryształowego zamczyska.

W tej chwili w pustelni zadźwięczała sygnaturka.

– Tu się zatrzymamy – rzekła księżna – i pieszo dojdziemy do kaplicy. Nie na słoniach i nie na wielbłądach, jeno pieszo szli trzej królowie do żłobka Świętej Dzieciny.

Wysłuchali mszy odprawionej przez pustelnika. Nie opodal księżnej ukłękła jakaś odrażająca starucha w łachmanach. Kiedy wychodzili z kaplicy, księżna zanurzyła palce w kropielnicy i podała wodę święconą żebraczce mówiąc:

– Pokój z wami, matko.

Jantarek spojrzął na księżnę zdziwiony.

– Czy nie wiesz, synu, że w każdym nędzarzu należy uczcić wybrańca Chrystusowego? – rzekła księżna. – Żebraczka, podobna do tej, trzymała cię do chrztu wraz z zacnym księciem Czarnych Skał. Nieznany biedak był również chrzestnym ojcem twojej siostrzyczki Zazulki.

Stara odgadła widać myśli Jantarka, gdyż pochyliła się ku niemu i zaskrzeczała szyderczo:

– Życzę wam, piękny paniczku, byście zawojowali tyle królestw, ile ja ich straciłam. Byłam władczynią Wysp Perłowych i Złotodajnych Gór. Czternaście gatunków ryb ukazywało się dzień w dzień na mym biesiadnym stole, a mały Murzynek dźwigał tren mojej szaty...

– Biedna kobieto! Jakież to los nie szczęśliwy pozbawił was waszych wysp i gór? – zapytała księżna.

– Naraziłam się na gniew karłów i one to przez zemstę wypędziły mnie z mych włości.

– Czyżby karły były tak potężne? – zdziwił się Jantarek.

– Żyjąc pod ziemią poznały tajemne właściwości drogich kamieni, nauczyły się obrabiać kruszce i odkrywać źródła – odparła żebraczka.

A na to księżna:

– Czym naraziliście się na ich gniew, matko?

– W pewną grudniową noc – odrzekła stara – przyszedł do mnie wysłannik karłów prosząc o pozwolenie urządzenia wigilijnej uczyty w kuchni zamkowej. Była ona większa od klasztornego kapitularza i zaopatrzona w liczne rondle, kociołki, imbryki, duże i małe patelnie, blachy do ciast, ruszty, rynki, brytfanny, wanienki do ryb, kadzie, formy do pasztetów, tortownice, dzbany mosiężne, roztruchany srebrne i złote, makutry, móżdżerze, że nie wspomnę już o przepięknym rożnie, wykutym artystycznie z żelaza, i olbrzymim, czarnym kotle zawieszonym na haku w kominie. Pomimo iż wysłannik zapewnił mnie, że nic nie zginie ani nie dozna szkody, odmówiłam jego żądaniu i karzeł oddalił się mrużąc niezrozumiałe groźby. I oto w samo święto Bożego Narodzenia o północy zjawił się w mej sypialni ten sam karzeł, otoczony gromadą swych współpracowników. Wywlekli mnie z komnaty i porzucili w gieźle nocnym w jakiejś nieznanej krainie. „Tak karzemy bogaczy – rzekli – którzy odmawiają cząstki swych skarbów pracowitemu i cichemu ludowi karzełków, obrabiających złoto i darzących ludzi źródłami słodkiej wody”.

Oto co opowiedziała na progu pustelni bezzębna żebraczka. Księżna pożegnała ją serdecznymi słowami i obdarzywszy hojną jałmużną skierowała się wraz z dziećmi do zamku Żyznych Pól.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

który opisuje widok ze szczytu baszty zamkowej

Niedługo potem dzieci, nie spostrzeżone przez nikogo, weszły krętymi schodami na szczyt wysokiej baszty stojącej pośrodku zamczyska. Gdy stanęły na górnym tarasie i rozejrzały się wokoło, zaczęły krzyczeć i klaskać w ręce z uciechy.

Z wieży roztaczał się rozległy widok na wzgórza pocięte zielonymi i brunatnymi kwadrami uprawnych pól. Na dalekim horyzoncie błękitniały góry i lasy.

– Spójrz, siostrzyczko, całą ziemię stąd widać! – wołał Jantarek.

– Jaka ogromna! – dziwiła się Zazulka.

– Moi mistrzowie zapewniali mnie nieraz, że ziemia jest bardzo duża, ale, jak mówi nasza ochmistrzyni Gertruda, żeby w coś uwierzyć, trzeba to ujrzeć na własne oczy.

Dzieci obeszyły taras wokoło.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze?! – wykrzyknęła nagle Zazulka. – Zamek nasz stoi pośrodku ziemi, więc my, na baszcie zbudowanej w samym jego środku, jesteśmy pośrodku całego świata! Cha! Cha! Cha!

Rzeczywiście, widnokrąg otaczał dzieci olbrzymim kołem, a osią jego była baszta zamkowa.

– Jesteśmy w samym środku świata! Cha! Cha! Cha! – powtórzył Jantarek.

Dzieci zadumały się na chwilę.

– To źle, że świat jest taki duży – rzekła Zazulka. – Można w nim zabłądzić i na zawsze stracić z oczu tych, co nas kochają. – Jantarek wzruszył ramionami.

– To właśnie dobrze, że świat jest wielki, bo łatwo w nim o różne przygody. Wiesz, Zazulko, kiedy będę duży, zdobędę te góry, które tam widać na samym końcu świata. Widziałem nieraz, jak spoza nich wschodzi księżyc. Pochwycę go w locie i przyniosę ci w podarunku.

– Świetnie! Zaraz go sobie wepnę we włosy! – wykrzyknęła Zazulka.

Potem jęli szukać, niby na mapie, znanych sobie miejscowości.

– Teraz już wszystko rozpoznaję – rzekła Zazulka (która nic zupełnie nie rozpoznawała) – ale nie mogę odgadnąć, co to za małe czworokątne kamyczki rozsypane są na tamym wzgórzu?

– To są domy, Zazulko, to domy! – odpowiedział Jantarek. – Czy nie poznajesz, siostrzyczko, stolicy księstwa Żyznych Pól? To przecież wielkie miasto, ma aż trzy ulice, a jedną z nich można nawet przejechać wozem! Pamiętasz? Jechaliśmy tamtędy w zeszłym tygodniu na nabożeństwo do pustelni.

– A ten strumyczek, co się tam wije?

– To rzeka. O, a tam dalej stary most kamienny!

– Czy to ten, pod którym łowiliśmy raki?

– Tak, ten sam. W jednej z jego wnęk stoi posąg „pani bez głowy”. Ale stąd go nie widać, bo jest za mały.

– Pamiętam. Ale dlaczego ta pani nie ma głowy?

– Pewnie dlatego, że ją zgubiła.

Nie wiadomo, czy Zazulce wystarczyła ta odpowiedź, bo w milczeniu patrzyła w dal.

– Jantarku! – wykrzyknęła nagle. – Czy widzisz, co tam błyszczy pod samymi górami? To jezioro!

– Tak, to jezioro!

Przypomnieli sobie od razu, co im księżna opowiadała o tych pięknych, a tak zdradliwych wodach, gdzie boginki mają swoje zamczysko.

– Chodźmy tam – powiedziała Zazulka. Życzenie to tak zdumiało Jantarkę, że przez chwilę patrzył na nią z otwartymi szeroko ustami.

– Ależ, Zazulko! – zawołał wreszcie. – Wiesz dobrze, że księżna zabroniła nam wychodzić samym z zamku. Jakżebyśmy zresztą trafili do tego jeziora, które jest na samym końcu świata?

– Ach, ja nie wiem! Ale tyś to powinien wiedzieć; ty, który jesteś mężczyzną i uczysz się gramatyki.

Jantarek, dotknięty do żywego tą uwagą, odpowiedział, że można być nie tylko mężczyzną, ale nawet dzielnym mężczyzną, a mimo to nie znać wszystkich dróg na świecie. Lecz Zazulka odeła usteczka tak wzgardliwie, że chłopiec zaczerwienił się po uszy.

– Nigdy się nie chwaliłam, że zdobędę błękitne góry i zdejmę z nieba księżyc – powiedziała sucho. – I choć wcale nie znam drogi do jeziora, i tak do niego trafię.

– Cha! cha! cha! – próbował zaśmiać się Jantarek.

– Waćpan się śmiejesz jak prawdziwy dudek – rzekła wzgardliwie Zazulka.

– Ależ, Zazulko, dudki nie mogą ani się śmiać, ani płakać.

– Ale gdyby się śmiały, to śmiałyby się z pewnością jak waćpan. Sama pójde nad jezioro. I gdy będę podziwiał kryształową wodę, w której mieszkają boginki, ty będziesz siedział w domu jak dziewczyna. Zostawię ci na pamiątkę moje krosienka i moją lalkę. Nie zapomnij dbać o nie, Jantarku. Nie zapomnij dbać o nie!

Jantarkowi nie brakowało ambicji. Dotknęły go mocno szyderstwa Zazulki. Zasepił się, spuścił głowę i powiedział głucho:

– Dobrze więc! Pójdziemy nad jezioro!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

w którym opowiedziano, jak Jantarek i Zazulka powędrowali nad jezioro

Nazajutrz po obiedzie, skoro tylko księżna przeszła do swojej komnaty, Jantarek ujął Zazulkę za rękę.

- Chodźmy – rzekł krótko.
- Dokąd?
- Pst...

Zeszli ze schodów i przebiegli przez podwórza zamkowe. Kiedy minęli podziemne przejście wiodące na gościniec, Zazulka po raz wtóry zapytała Jantarkę, dokąd ją wiedzie.

- Nad jezioro – odparł stanowczym tonem Jantarek.

Panna Zazulka stanęła jak wryta. Jakże tu iść tak daleko bez pozwolenia i do tego w atlasowych trzewiczkach; bo Zazulka miała na nóżkach atlasowe trzewiczki. Czy to roztropnie?

- Kiedyś musimy tam pójść. I nie potrzebujemy wcale być roztropni.

Taką to wspaniałą odpowiedź dał Zazulce Jantarek. Przecież nie dalej jak wczoraj zarzucała mu tchórzostwo, a dziś udaje zdziwienie!

Tym razem on odesłał ją pogardliwie do lalek. Dziewczyny zawsze namawiają do przygód, a potem trzymają się fartuszka ochmistrzyni. Co za szkaradne usposobienie! Niech Zazulka wraca do zamku. Jantarek pójdzie sam.

Zazulka uczepiła się jego ramienia. Jantarek odepchnął ją. Wtedy zarzuciła mu rączki na szyję.

- Weź mnie ze sobą, braciszku! Weź mnie ze sobą – prosiła łkając.

Tak wielka skrucha wzruszyła go w końcu.

– No, to chodź – powiedział – ale nie pójdziemy przez miasto, bo mógłby nas jeszcze kto zobaczyć. Pobiegniemy wzdłuż wałów obronnych, a potem miedzą wydostaniemy się na gościniec.

I poszli trzymając się za rękę. Jantarek tłumaczył Zazulce plan wyprawy:

– Pójdziemy drogą, którą jechaliśmy do pustelni. Z pewnością, jak za tamtym razem, zobaczymy jezioro, wtedy pobiegniemy ku niemu na przelaj przez laki i pola.

Idąc brzegiem rowu Zazulka zrywała kwiaty i układała je w wiązanek. Były tam maki polne, żółte dziewanny, bławaty i przytulie. Lecz kwiaty wędły szybko w jej rączkach i kiedy doszli do kamiennego mostu, wyglądały nader żałośnie.

Zazulka, znużona już ich dźwiganiem, chciała wrzucić bukiet do wody. Lecz po namyśle postanowiła ofiarować go „pani bez głowy”.

Na jej prośbę Jantarek podniósł ją do góry, po czym Zazulka złożyła snop polnych kwiatów w skrzyżowane dłonie kamiennej figury.

Daleko za mostem Zazulka odwróciła się i spostrzegła na ramieniu „pani bez głowy” białą gołąbkę.

Szli dalej, nie zatrzymując się ani na chwilę.

- Tak mi się chce pić – powiedziała nagle Zazulka.

– I mnie także, ale rzeka została daleko za nami, a tutaj nie widzę ani strumienia, ani studni.

– Słońce tak mocno grzeje! Z pewnością wszystką wodę z ziemi wypilo. Cóż teraz poczniemy, Jantarku?

Gdy się tak skarżyli, ujrzeni nagle wieśniaczkę z koszem owoców na ramieniu.

– To wiśnie! – wykrzyknął Jantarek. – Jaka szkoda, że nie wziąłem pieniędzy ze sobą!

– Ja mam pieniądze – rzekła Zazulka.

Wyjęła z kieszonki sakiewkę, w której błyszczało pięć złotych monet.

– Czy moglibyście, matko, dać mi tyle wiśni, ile się może zmieścić w mojej sukience? – spytała wieśniaczki unosząc obu rękami brzeg spódniczki.

<<rys 3>>

Wieśniaczka rzuciła jej parę garści wiśni. Zazulka przytrzymała jedną rączką sukienkę, a drugą podała wieśniaczce złotą monetę pytając:

– Czy to nie będzie za mało?

Wieśniaczka chwyciła złoty krążek, za który można by kupić nie tylko wszystkie wiśnie z koszyka, ale i drzewo, na którym rosły, i cały sad przy chacie.

– Ja się tam o więcej nie przymawiam. Niech wam pójdzie na zdrowie, śliczna panienko! – rzekła przebiegle.

– No to nasypcie jeszcze wiśni do kapelusza mego brata, a dostaniecie drugi złoty pieniądz.

Wieśniaczka śpiesznie spełniła polecenie i oddaliła się rozmyślając, w jakiej by tu pończosze, w głębi jakiego siennika ukryć otrzymane dukaty. A dzieci wędrowały znowu, zjadając wiśnie i rzucając pestki na prawo i lewo. Jantarek wyszukiwał jagody szczipione ze sobą ogonkami i robił z nich zausznice dla siostrzyczki; śmiał się radośnie na widok ślicznych purpurowych kulek, kołyszących się na policzkach Zazulki.

Wesoły ten pochód zatrzymał na chwilę jakiś ostry kamyczek, który się zakradł do trzewiczka Zazulki. Dziewczynka zaczęła skakać na jednej nodze, a przy każdym skoku złote loki muskały jej rozgrzaną twarzyczkę. W ten sposób dotarła do skarpy przydrożnej i usiadła na niej, a Jantarek, klękając, zdjął z jej nóżki trzewiczek i wytrząsnął zeń mały, biały kamuszek.

Spojrząwszy na swe obolałe nóżki Zazulka rzekła:

– Wiesz co, jeżeli jeszcze kiedy wybierzemy się do jeziora, nałożymy buty z cholewami.

Słońce chyliło się ku zachodowi na bezchmurnym niebie. Podmuch wietrzyka muskał policzki i szyje małych wędrowców. Dzieci, odświeżone chłodem, odważnie szły naprzód. By zgodniej maszerować, śpiewały trzymając się za ręce i co chwila wybuchały śmiechem na widok wydłużonych cieni powtarzających każde ich poruszenie. A śpiewały taką piosenkę:

Wyszła z chałupy dziewczyna,
imię jej było Maryna,
dosiadła osła Marcina,
zawiozła zboże do młyna!

Ale raptem Zazulka zatrzymała się wołając:

– Jantarku, zgubiłam trzewiczek, zgubiłam mój trzewiczek atlasowy!

Rzeczywiście, jedwabne sznurowadła rozluźniły się w marszu i zapyłony trzewiczek pozostał gdzieś na drodze.

Zazulka spojrzała poza siebie i spostrzegła, że baszty zamczyska Żyźnych Pól roztopiły się we mgle oddalenia. Serduszko jej ścisnęło się boleśnie, a oczy wezbrały łzami.

– Z pewnością zjedzą nas wilki – szepnęła. – Nasza mama nie zobaczy nas nigdy i umrze ze zmartwienia.

Ale już Jantarek nadbiegł ze znalezionym trzewiczkiem i rzekł:

– Zobaczysz, Zazulko, że wrócimy do domu, zanim dzwon zamkowy zacznie zwoływać na wieczerzę! Chodźmy dalej!

Gdy młynarz ujrzał dziewczynę,
wielce nadobną Marynę,
rzekł: „Ostaw, panno, Marcina
i racz wejść ze mną do młyna”.

– Jezioro! Zazulko! Jezioro!

– Tak, Jantarku, jezioro!

Jantarek podrzucił w górę kapelusz i krzyknął:

– Wiwat! Wiwat! Wiwat!

Zazulka była zbyt dobrze wychowana, żeby za przykładem brata podrzucać swój czepek. Zdjęła jednakże trzewik, który ciągle zsuwał się z jej nóżki, i na znak radości cisnęła go wysoko ponad głowę. Tak – tam w dolinie, w olbrzymiej czaszy z listowia i kwiatów, srebrzyła się tafla jeziora. Lśniła cicha i czysta, tylko splełana zieleń na jej brzegach drgała lekko.

Dzieci na próżno szukały w gąszczu jakiejś ścieżyny, która by je doprowadziła na brzeg cudownego jeziora. Kiedy rozglądały się wokoło, zaczęło szczypać je po nóżkach stado gęsi, które zaganiała witek mała dziewczynka odziana w barani kożuszek.

Jantarek spytał gęsiarki, jak się nazywa.

– Kasia – odrzekła dziewczynka.

– Powiedz nam, Kasiu, którądy się idzie do jeziora?

– Kiej się tam nie idzie.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– A gdyby się szło?

– Toby była droga i szłoby się drogą.

Trudno się było sprzeczać z pastuszką.

– Chodźmy – rzekł po chwili Jantarek – może dalej natrafimy na jakąś ścieżkę przez las.

– Nazbieramy tam orzechów – powiedziała Zazulka. – Bardzo mi się już chce jeść. Kiedy się znowu wybierzemy do jeziora, zabierzemy ze sobą całą skrzynię pełną dobrych rzeczy.

– Rozumie się – odparł Jantarek. – Widzę teraz, jak mądrze zrobił koniuszy Szczerogęba, że gdy wyjeżdżał do Rzymu, wziął ze sobą skrzynkę i gąsiorek wina. Ma teraz co jeść i pić. Ale spieszymy się, Zazulko, bo choć nie wiem, która godzina, zdaje mi się, że musi być już późno.

– Podobno pasterze poznają godziny po słońcu – mówiła Zazulka. – Szkoda, że nie jestem pasterzem. Zdaje mi się jednak, że słońce, które było nad naszymi głowami, kiedyśmy wychodzili z domu, teraz uciekło daleko za miasto i za zamek Żyźnych Pól. Trzeba by się dowiedzieć, co to znaczy i czy tak jest codziennie, czy tylko dzisiaj?

Kiedy tak dzieci patrzyły w słońce, w tumanie kurzu wzniesionym kopytami pędzących w galopie koni ukazała się na gościńcu gromada zbrojnych jeźdźców. Dzieci przeraziły się i spieszenie ukryły w zaroślach. Były pewne, że to rozbójnicy albo ludożercy.

W rzeczywistości byli to strażnicy zamkowi, których zaniepokojona księżna wysłała na poszukiwanie małych zbiegów.

A zbiegowie przedzierając się przez gąszcze natrafili na malutką ścieżynę, która na pewno nie była ścieżką zakochanych, gdyż nie można nią było iść we dwoje, trzymając się za ręce zwyczajem narzeczonych. Toteż nie było na niej odcisków ludzkich stóp, tylko niezliczone tropy małych raciczek.

– To ślady diablików – rzekła Zazulka.

– Albo raczej sarenek – odpowiedział Jantarek. Nie wiadomo, kto miał rację. To tylko było pewne, że drożyna wiodła łagodnym stokiem nad samym brzegiem jeziora. Nagle ukazało się one dzieciom w całej swej tęsknej i pełnej spokoju krasie. Wierzby otaczały brzegi wieńcem jasnozielonego listowia. Trzciny skupione w kępy chwiały się nad wodą jak las giętkich mieczy i delikatnych kit. Wokół nich lilie wodne rozkładały liście wykrojone w kształcie serc i białe mięsiste kwiaty. Dookoła tych wonnych wysepek łątki o płomiennych skrzydłach, odziane w turkusowe i szmaragdowe kubraczki, przecinały powietrze i z nagłą urywały lot.

Dzieci z rozkoszą zanurzały rozpalone nóżki w wilgotnym żwirze, porośłym kępami żabieńca i smukłymi grotami sitowia. Pachniały mocno niepozorne łodygi tataraku, okolone koronką kwiatów uszycy, a senną tafłę jeziora znaczyły gwiazdziste, fiołkowe kielichy rozświty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

w którym widzimy, jak okrutnie został ukarany Jantarek za wyprawę do siedziby wodnych boginek

Zazulka poszła dalej po piasku między dwiema kępami wierzb. Spod jej nóg wyskoczył nagle maleńki duszek wodny i z pluskiem zapadł w jezioro, znacząc jego powierzchnię niezliczoną ilością kół, które rozszerzały się przez chwilę, aż w końcu znikły. Duszek miał postać zielonej żabki o białym brzuszku. Cicho było dokoła. Świeży podmuch wiatru muskał przejrzyste jezioro, a każda fala wyginała się niby usta drżące uśmiechem.

– Bardzo ładne to jezioro – rzekła Zazulka. – Szkoda tylko, że jestem taka głodna i że tak pokaleczyłam nóżki na kamieniach. I trzewiczki podarły się w strzępy. Chciałabym bardzo być już z powrotem w zamku.

– Usiądź na trawie, siostrzyczko – poprosił Jantarek. – Owinę twoje stopy liśćmi, a potem pobiegnę poszukać czegoś do zjedzenia. Widziałem tam wyżej, koło drogi, kilka krzaków jeżyn aż czarnych, od jagód. Wybiorę najśodsze i najdorodniejsze i przyniosę ci je w kapeluszu. Daj mi swoją chusteczkę, nazbieram do niej poziomek; widziałem ich mnóstwo w cieniu drzew, tuż obok ścieżki. A kieszenie, Zazulko, napelnę orzechami.

Jantarek sporządził z mchu posłanie dla Zazulki pod wierzbą, na brzegu jeziora, i poszedł.

Zazulka leżała ze złożonymi rękami na swym posłaniu i patrzyła, jak zapalają się gwiazdy migocząc na bladym niebie. Po chwili rzęsy jej opadły i przystończyły oczy. I wtedy wydało jej się, że widzi maleńkiego karzelka, lecącego na czarnym kruku. Nie, to nie było złudzenie! Karzełek szarpnął wędzidłem przeciągniętym przez dziób czarnego ptaka, zawisł w powietrzu tuż nad dziewczynką i wytrzeszczywszy okrągłe oczy wpatrywał się w nią przez chwilę. Po czym spiął ostrogami kruka i pomknął jak strzała. Wszystko to widziała Zazulka jak przez mgłę i zaraz zasnęła.

Spała głęboko, kiedy nadbiegł Jantarek niosąc w kapeluszu jagody. Postawił kapelusz na ziemi i zszedł na brzeg, chcąc tam zaczekać, dopóki się dziewczynka nie obudzi. Jezioro spało także w koronkowym wieńcu listowia. Lekka mgła rozsnuwała się łagodnie po jego tafli. Raptem księżyc wysunął się spoza drzew i jezioro zamigotało od razu tysiącem iskier.

Ale Jantarek widział wyraźnie, że nie wszystkie te iskry są odbłaskiem księżycowego światła. Widział, że błękitne płomyki kołyszą się i wirują, jak gdyby tańczyły w jakimś dziwnym korowodzie. Dojrzał wkrótce, że migocą one ponad śnieżnymi, kobiecymi czołami. Jeszcze chwila, a z fal wynurzyły się prześliczne główki o długich, zielonych włosach, strojne w wieńce z wodorostów i muszli, a potem lśniące od pereł ramiona i piersi, z których zsuwały się zwiewne zasłony. Chłopiec poznał boginki i porwał się do ucieczki. Ale oplotły go już blade, zimne ramiona i pomimo krzyków i oporu poniosły przez wodną toń, w głąb kryształowych i porfirowych kruzganków.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

z którego dowiadujemy się, jak karzełki uprowadziły Zazulkę

Fale kruszyły odbitą w wodzie tarczę księżyca, który wzniósł się wysoko nad jezioro. Zazulka spała ciągle. I oto znowu ukazał się jadący na kuku karzełek, który z takim zajęciem przyglądał się poprzednio dziewczynce. Wiódł za sobą tym razem całą gromadę maleńkich ludzików. Były to naprawdę malusieńkie ludziki wzrostu dziecka, o twarzach starców i długich, siwych brodach opadających do kolan. Ich skórzane fartuchy i młotki wiszące u pasów świadczyły, że trudnią się obrabianiem metali. Poruszali się bardzo dziwnie. Skakali tak wysoko, fikalili tak nieprawdopodobnie kozły, wykazywali tak niezwykłą zwinność, że podobniejsi byli do duszków niż do ludzi. Ale w czasie najszaleńszych podskoków zachowywali niewzruszoną powagę, tak że trudno było dociec, czy są weseli, czy smutni.

Zwartym kręgiem otoczyli śpiącą Zazulkę.

– No i cóż? – przemówił siedzący na skrzydlatym wierzchowcu karzełek. – Czy was zwiódłem donosząc, iż najcudniejsza księżniczka śpi nad brzegiem jeziora? Podziękujecie mi chyba za to, że wam ją pokazałem.

– Z serca ci dziękujemy, Fiku–Miku – odparł na to karzełek o twarzy starego poety. – Zaprawdę, nic na świecie nie może równać się z urodą tej ślicznej panienki. Świeższa jest od jutrzienki wynurzającej się z za gór, a blask złota, które kujemy w podziemiach, gaśnie wobec przepychu jej włosów.

– Prawdę powiedziałaś. Bziku, szczerą prawdę! – przytaknęły chórem karzełki. – Ale co pocznjemy z tym ślicznym dziewczętą?

Bzik, podobny do sędziwego poety, nie odpowiedział na to pytanie, bo, prawdę mówiąc, także nie wiedział, co począć ze ślicznym dziewczętą.

Inny karlik, zwany Mrukiem, odezwał się w te słowa:

– Zbijmy na poczekaniu dużą klatkę i zamknijmy ją w niej. Lecz karzełek Pik sprzeciwił się temu stanowczo. Przecież w klatkach trzyma się tylko dzikie i drapieżne zwierzęta, a nic nie wskazywało, żeby śpiąca dziewczynka była drapieżna i dzika.

Jednakże Mruk obstawał przy swoim pomysłe, bo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy, i bronił go bardzo przemyślnie.

– Jeśli nawet ta osóbką – powiedział – nie jest na razie drapieżna i dzika, to gdy wsadzimy ją do klatki, zdziczeje z pewnością, a wtedy klatka będzie nie tylko użyteczna, ale nawet niezbędna.

Wywody jego nie trafiły karzełkom do przekonania, a cnotliwy i rozumny Ład oburzył się srodze na Mruka. Według niego należało jak najspieszniej odprowadzić zbłąkaną dziecinę do rodziców, którymi byli zapewne jacyś możni państwo z okolicy.

Ale i ten projekt nie podobał się karzełkom, sprzeciwiał się bowiem ich zwyczajom.

– Należy przestrzegać sprawiedliwości, a nie zwyczajów – przedkładał Ład.

Ale karzełki nie chciały go słuchać i rozprawały coraz hałaśliwiej. Wreszcie karzełek Puk, odznaczający się prostym, chłopskim rozumem, rzekł:

– Przede wszystkim musimy obudzić tę panienkę, skoro sama nie obudziła się dotychczas. Wiecie wszyscy, jak niezdrowo jest spać w lesie nad samym brzegiem jeziora. Jeśli dziewczynka przepędzi noc pod gołym niebem, będzie miała jutro obrzmiałe powieki i nie będzie już taka ładna jak dzisiaj.

Wszyscy zgodzili się z Pukiem, bo zdanie jego nie sprzeciwiało się niczym poglądom.

Bzik zatem, podobny do starego, cierpiącego poety, zbliżył się do Zazulki i począł wpatrywać się w nią z natężeniem, przekonany, że siła jego spojrzenia wystarczy do przerwania najgłębszego snu. Ale na próżno pocziwiec wytrzeszczał oczy – Zazulka spała dalej z rączkami złożonymi na piersi.

Wtedy cnotliwy Ład pociągnął ją delikatnie za rękaw. Zazulka z wolna otworzyła oczy i uniosła się na łokciu. Widząc, że leży na posłaniu z mchu, otoczona gromadą karzełków, była pewna, że śni jeszcze, i obu rączkami zaczęła trzeć powieki, by odegnąć dziwaczne zwidy i obudzić się w swej błękitnej komnacie prześwietlonej słońcem poranka. Była jeszcze tak rozszpana, że nie pamiętała o niefortunnej wyprawie nad jezioro. Na próżno jednak przecierała oczęta – karzełki nie znikwały i trzeba było uwierzyć, że są tu naprawdę. Zazulka powiodła dookoła niespokojnym spojrzeniem, zobaczyła las, przypomniała sobie wszystko i zawołała z trwogą:

– Jantarku! Jantarku! Braciszku!

Karzełki rzuciły się ku niej, ale ich widok tak ją przeraził, że ukryła twarzą w dłoniach i wołała łkając:

– Jantarku! Jantarku! Gdzie mój braciszek Jantarek?

Krasnoludki nie umiały jej objaśnić, co się stało z Jantarkiem, dla tej prostej przyczyny, że

same nic o nim nie wiedziały. Biedna Zazulka zalewała się gorzkimi łzami i ciągle przyzywała matkę i brata.

Pocziwemu Pukowi także się na płacz zbierało. Pragnąc pocieszyć dziewczynkę zaczął mówić do niej łagodnie:

– Nie trap się, śliczna panienko! Szkoda psuć płaczem oczu. Opowiedz nam raczej o sobie, to będzie nader zajmujące. Wysłuchamy cię z niezmiernym upodobaniem.

Zazulka nie zważała na jego słowa. Porwała się z miejsca, chcąc uciekać, ale jej bose, obrzmiałe nóżki zaboląły ją tak dotkliwie, że padła na kolana szlochając jeszcze żałośniej. Wtedy Ład objął ją ramionami, a Pik delikatnie pocałował w rączkę. Zazulka spojrzała na nich śmielej i wyczytała w ich pocziwych oczach wyraz głębokiego współczucia. Bzik ze swym obliczem natchnionego wieszczka wydał się jej nieszkodliwy, wszystkie zresztą karzełki okazywały jej tyle serca, że ośmielona Zazulka rzekła:

– Ach, jaka szkoda, mali ludkowie, że takie z was brzydale! Ale będę was kochała mimo wszystko, jeśli przyniesiecie mi coś do zjedzenia, bo jestem bardzo głodna.

– Fik–Mik! – krzyknęły chórem karzełki. – Prędko! Leć po wieczerzę!

Fik–Mik polecał na swym kuku. Jednakże karzełki czuły, że Zazulka wyrządziła im krzywdę nazywając ich brzydalami. Mruk był strasznie zły, a Bzik mówił sobie w duchu: „To jeszcze dziecko! Nie dziwota, że nie dostrzegło ognia geniuszu, który uzbraja mój wzrok w

pioruny lub nadaje mu pełną czarę słodyczy”. Puk, zasepiony, dumal: „Może nie należało wcale budzić tej młodej damy, która uważa nas za brzydali?” Jeden tylko Ład uśmiechnął się do niej czule i rzekł:

– Gdy nas bardziej polubisz, wydamy ci się mniej odpychający.

W tej chwili ukazał się na swym kuku Fik–Mik. Dźwigał pieczoną kuropatkę na złotym półmisku, mały chlebek z najlepszej mąki i butelkę czerwonego wina. Machnąwszy niezliczoną ilość koziółków złożył tę wieczerzę u stóp Zazulki.

Posiliwszy się, dziewczynka rzekła:

– Kochane ludziki, wasza wieczerza ogromnie mi smakowała. Nazywam się Zazulka. Pomóżcie mi teraz odszukać mego braciszka Jantarka i odprowadźcie nas do zamku Żyźnych Pól, gdzie mama wypatruje nas w wielkiej trwodze.

Lecz poczciwy karzełek Brzdęk wytłumaczył Zazulce, że nie uszlaby teraz ani stu kroków i że brat jej jest dość duży, aby samemu odnaleźć drogę do zamku. Nic mu się zresztą złego nie mogło stać w tej okolicy, gdzie wszystkie dzikie zwierzęta dawno wytopiono.

– Zrobimy wygodne nosze – zakończył Brzdęk – i pokryjemy je mchem i liśćmi. Ty, Zazulko, ułożysz się na nich wygodnie, a my poniesiemy cię w góry i, jak obyczaj nasz każe, przedstawimy królowi karzełków.

Wszystkie krasnoludki przyklasnęły tej przemowie. Zazulka spojrziała na swoje obolałe nóżki i zamilkła. Ucieszyła się, że dzikich zwierząt nie ma w tej okolicy. A swój los postanowiła powierzyć dobrotliwym karzełkom.

W mig sporządzono nosze. Ci, którzy mieli za pasem toporki, nacinali pnie dwu młodych świerczków.

Przypomniało to Mrukowi jego pomysł.

– A gdybyśmy tak zamiast noszy sporządzili klatkę? – rzekł. Lecz karzełki zaprotestowały jednogłośnie, a Ład rzucił mu spojrzenie pełne wzgardy.

– Zaiste, Mruku – zawołał – jesteś podobniejszy do człowieka niż do karzełka! Mogę jednak zaświadczyć na chwałę naszego rodu, że najzłośliwszy z nas jest zarazem najgłupszy.

Robota postępowała rażno. Karliki podskakiwały, by osiągnąć gałęzi, ścinały je i budowały z nich lektykę. Wymościły ją mchem i liśćmi, posadziły w niej Zazulkę, potem pochwyciły równocześnie za drążki, hop! – podrzuciły je sobie na ramiona i dalejże, dalej! – pośpieszyły w góry.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

który wiernie opisuje przyjęcie zgotowane przez króla Mikrusa księżniczce Żyźnych Pól

Pochód wspinał się krętą ścieżyną wiodącą po zalesionym stoku góry. Spośród szarej zieleni karłowatych dębów sterczały tu i ówdzie nagie, rdzawe złomy granitu. Dziki krajobraz zamykała czerwona góra, pocięta błękitnymi wąwozami.

Pochód, który prowadził Fik–Mik na swym skrzydlatym rumaku, wsunął się w wąską, pełną cierni skalną szczelinę.

Zazulka z rozsypanymi na ramionach włosami wyglądała jak jutrzienka wstająca nad górami, ale jutrzienka pełna lęku, która próbuje uciekać i wzywa imienia matki. Dziewczynka przeraziła się bowiem niezmiernie, gdy ujrzała w mroku zbrojnych po zęby krasnoludków rozstawionych na warcie we wszystkich załomach skalnych.

Tkwili nieruchomo z napiętymi łukami i nastawionymi lancami, a groźny ich wygląd podnosiły jeszcze narzucone na ramiona skóry dzikich zwierząt i długie noże wiszące u pasów. Świeżo ubita zwierzyna leżała u ich nóg. Ale oblicza myśliwych nie miały wyrazu okrucieństwa ni dzikości. Przeciwnie, pełne były słodyczy i powagi, zupełnie podobne do twarzy karzełków, których Zazulka spotkała w lesie.

Pośród wojowników stał pełen majestatu krasnoludek. Nad lewym jego uchem zwieszało się pióro kogucie, a czoło otaczał diadem zdobny w drogie kamienie. Spod płaszcza, którego poła odrzucona była na barki, ukazywało się żylaste ramię obwieszane złotymi bransoletami. Róg z kości słoniowej i cyzelowanego srebra zwieszał się od jego pasa. Lewą ręką opierał się mocno i spokojnie na lancy, a prawą przesłaniał oczy, patrząc pod światło na Zazulkę.

– Królu Mikrusie – rzekły karliki leśne – przywiedliśmy ci piękne ludzkie dziecko, któreśmy znaleźli. Na imię ma Zazulka.

– Postąpiłście słusznie – orzekł król Mikrus. – Będzie żyła wśród nas, jak tego wymagają obyczaje karzełków. To rzekłszy podszedł do Zazulki.

– Bądź pozdrowiona, Zazulko! – powiedział łagodnie, gdyż w sercu jego zrodziła się już życzliwość dla dziewczątka.

Wspiął się na palce, by ucałować zwieszoną rączkę swej branki, i zapewnił ją, że nie tylko najmniejsza krzywda jej nie spotka, lecz, przeciwnie, każde jej życzenie będzie natychmiast spełnione, gdyby nawet zapragnęła naszymi, zwierciadeł, kaszmirowych szali czy szat z

<<rys 4>>

chińskiego jedwabiu.

– Chciałabym bardzo mieć trzewiczki – odpowiedziała Zazulka. Król Mikrus uderzył lancą w tarczę brązową zawieszoną na ścianie skalnej i natychmiast z głębi pieczary wyskoczyło coś na kształt piłki i w płasach i podrygach potoczyło się ku królowi. Był to karlik, którego rysy miały marsowy wyraz, ale jego skórzany fartuch świadczył, że jest po prostu szewcem. Był to istotnie nadworny szewc króla Mikrusa.

– Dratwo – zwrócił się do niego król – poszukaj w naszych składach najdelikatniejszej skórki, weź złotego i srebrnego brokatu, poproś mego skarbnika o tysiąc pereł najczystszej wody i uszyj z tej skórki, ze złotogłowiu i z pereł parę trzewiczków dla tej małej księżniczki.

Dratwa przypadł do stóp Zazulki i wziął dokładną miarę. Ale dziewczynka powiedziała:

– Małeńki królu Mikrusie, daj mi zaraz te śliczne trzewiczki. Kiedy je nałożę, pobiegnę do matki, do zamku Żyźnych Pól.

– Zazulko – odparł król – nie na to otrzymasz trzewiczki, by powrócić w nich do zamku Żyźnych Pól, jeno by przechadzać się we wnętrzu naszych gór. Pozostaniesz bowiem w moim królestwie, Zazulko, i posiadasz wiedzę tajemną, której nie przeczuwają nawet mieszkańcy ziemi. Karzełki są o wiele mędrze od ludzi i dla twego dobra sprowadziły cię tutaj.

– Ach, przywiodły mnie tu na moją zgubę! – zaprzeczyła Zazulka. – Małeńki królu Mikrusie, daj mi proste drewniane chodaki, jak te, które noszą chłopci, i pozwól mi wrócić do zamku Żyźnych Pól.

Ale król Mikrus potrząsnął głową na znak, że to się stać nie może. Zazulka złożyła rączki i prosiła pieszczotliwie:

– Małeńki królu Mikrusie, puść mnie do matki, a będę cię za to bardzo kochała.

– Zapomnisz o mnie, Zazulko, na ziemi, w blasku słońca.

– Nie, nie zapomnę o tobie, małeńki królu, i będę cię lubiła tak bardzo, jak lubię Tchnienie Wietrzyka.

– Któż to jest Tchnienie Wietrzyka?

– To mój konik bułany. Jada z ręki i ma różowe wodze. Kiedy był jeszcze źrebiątkiem, koniuszy Szczerogęba przyprowadzał mi go do sypialni na dzień dobry, a ja obejmowałam go za szyję i całowałam. A teraz Szczerogęba pojechał do Rzymu, a bułanek jest za duży, aby mógł wchodzić na schody zamkowe.

Król Mikrus uśmiechnął się na te słowa.

– A gdybym cię poprosił, Zazulko, żebyś kochała mnie jeszcze mocniej niż Tchnienie Wietrzyka?

– Kiedy nie mogę, choćbym nawet chciała. Nie cierpię cię, maleńki królu Mikrusie, bo nie chcesz mnie puścić do matki i Jantarka.

– Któż to jest ten Jantarek?

– Jantarek to jest Jantarek, a ja go kocham.

Rozmowa ta spotęgowała serdeczne uczucia króla karłów. Miał nadzieję poślubić Zazulkę, gdy dziewczynka dorośnie, i w ten sposób pogodzić krasnoludków z rodem ludzi. Lecz zaniepokoił się, czy nie znajdzie w Jantarku rywala, który obróci wniwecz jego zamysły. Z głową opuszczoną na piersi i z zasępionym czołem zamierzał odejść, gdy Zazulka pociągnęła go leciutko za poję płaszcza.

– Maleńki królu Mikrusie – rzekła głosem pełnym tkliwości, domyśliła się bowiem, że wyrządziła mu przykrość – powiedz mi, dlaczego musimy dręczyć się wzajemnie?

– Tak już jest urządzony świat, Zazulko – odparł król Mikrus. – Nie mogę oddać cię matce, lecz ześlę jej sen, który powiadomi ją o twym losie i pocieszy po twojej stracie.

– Maleńki królu Mikrusie – zaśmiała się przez łzy Zazulka – to dobry pomysł, ale powiem ci, jak należy postąpić. Trzeba każdej nocy posyłać mojej matce sen o mnie, a mnie zsyłać sen, w którym ją zobaczę.

Król Mikrus przyrzekł spełnić jej prośbę i dotrzymał obietnicy. Każdej nocy widywała Zazulka matkę i każdej nocy księżna widywała córkę. To koło nieco ich tęsknotę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym dajemy szczegółowy opis osobliwego państwa karzełków oraz laleczek ofiarowanych Zazulce

Królestwo karzełków rozciągało się na znacznej przestrzeni, głęboko pod górami. Mimo że światło dzienne przenikało do wnętrza tylko tu i ówdzie przez szczeliny w skałach, pałace, ulice i sale nie były pogrążone w ciemności. Zaledwie w kilku komnatach i piwnicach panował nieprzenikniony mrok. Ale państwa krasnoludków nie oświetlały ani pochodnie, ani lampy, tylko meteory i gwiazdy płonące łagodnym, czarodziejskim blaskiem, który padał na różne niezwykle dziwy. W skale wyciosano olbrzymie gmachy, a niektóre pałace z granitu wznosiły się na takich wysokościach, że kamienne koronki ich wieżyc gubiły się pod sklepieniem ogromnej groty, we mgle prześwieconej żółtawym lśnieniem malutkich gwiazdek, bledszych od księżyca.

W państwie tym były twierdze, przygniatające swoim ogromem, amfiteatry, których granitowe stopnie obejmowały przestrzeń tak rozległą, że oko nie mogło dojrzeć jej końca. Znajdowały się tam obszerne studnie o pięknie rzeźbionych cembrowinach, tak głębokie, że można było schodzić w nie latami i nigdy nie dotrzeć do dna. Wszystkie te budowle, pozornie nie przystosowane do drobnego wzrostu krasnoludków, były wyrazem ich geniuszu, pełnego pomysowości i fantazji.

Karliki, w kapturach ozdobionych liśćmi paproci, kręciły się wokół budynków z nieprawdopodobną lekkością i swobodą. Nierzadko skakały z wysokości dwóch lub trzech pięter na chodnik pokryty wulkaniczną lawą i odbijały się od niego jak piłki gumowe.

Jednocześnie ich twarze zachowywały zawsze wyraz dostojnej powagi, jaki widzimy na obliczach posągów przedstawiających sławnych mężów starożytności.

Nikt tu nie próżnował, wszyscy pracowali gorliwie. Całe dzielnice rozbrzmiewały łoskotem młotów. Przerażliwy huk maszyn odbijał się od sklepienia grot, a tłumy małych górników, kowali, złotników, jubilerów, szlifierzy diamentów z niezwykłą zręcznością posługiwały się łomami, młotkami, obcęgi i pilnikami.

Istniała tam jednak i mniej hałaśliwa dzielnica. Z gruba ciosane, potężne posągi i niekształtne słupy, zapewne bardzo stare, wynurzały się niewyraźnie z litej skały. Tutaj wznosił się pałac króla Mikrusa – przysadzisty, o niskich odrzwiach. Tuż obok wznosił się dom, a raczej domeczek Zazulki, mający tylko jedną komnatę obitą białym muślinem. Sosnowe meble roztaczały tu miłą woń. Poprzez szczelinę w skale wpadało do wnętrza światło słoneczne, a w pogodne noce można było dojrzeć stąd gwiazdy.

Zazulka nie miała służby, ale cały lud karzełków śpieszył na każde zawołanie, by zaspokajać jej potrzeby i wypełniać życzenia. Nie wolno im było tylko wyprowadzać dziewczynki na ziemię.

Najuczeńsi mężowie, wtajemniczeni w zawilosci wiedzy, uczyli ją z ochotą, lecz nie z książek, bo tych nie posiadali wcale. Pokazywali jej za to zioła rosnące w górach i na nizinach, różne gatunki zwierząt oraz kamienie wydobyte z łona ziemi. Pełni pogody i prostoty, zaznajamiali ją za pomocą przykładów i pokazów z ciekawymi zjawiskami przyrody i zdobyczami wiedzy i sztuki.

Krasnoludki robiły dla Zazulki zabawki, jakich na ziemi nie mają najbogatsze nawet dzieci. Ludek ten bowiem jest niezwykle przemyślny i umie sporządzać najmistrzowsze mechanizmy. Toteż Zazulka miała lalki, które poruszały się z wdziękiem i wyrażały podług wszelkich reguł poetyckich. A gdy je ustawiano na scenie małego teatrzyku, którego dekoracje wyobrażały brzeg morza albo błękit niebios rozpostarty nad świątyniami i pałacami – odbywały się bardzo ciekawe przedstawienia. Chociaż lalki nie miały więcej niż łokieć wysokości, jedne grały role czcigodnych starców, inne – mężów w sile wieku, jeszcze inne – pięknych dziewczeczek odzianych w białe szaty. Były między nimi i matki tulące w ramionach niewinne dzieciątka. Laleczki te poruszały się i przemawiały, jakby odczuwały naprawdę miłość, nienawiść i dumę. Z równą łatwością wyrażały radość, jak ból i tak zręcznie naśladowały rzeczywistość, że słuchaczom wyciskały łzy z oczu lub pobudzały do śmiechu. Zazulka oklaskiwała gorąco te widowiska. Nie cierpiała z całej duszy lalek przedstawiających despotów i tyranów. Serce jej wzbierało za to litością dla cudnych księżniczek, owdowiałych i trzymanyh w niewoli. Każda z nich, chcąc uratować swoje dziecko, zmuszona była poślubić okrutnika, który uczynił ją wdową.

Przedstawienia te nigdy nie nużyły Zazulki, gdyż lalki odgrywały coraz to nowe role. Słuchała także koncertów i uczyła się grać na lutni, na wioli, na teorbanie, na lirze i na kilku innych jeszcze instrumentach. Po paru latach Zazulka już dobrze grała, a widowiska teatralne, odgrywane przez laleczki, zaznajomiły ją z obyczajami ludzi i ich życiem. Król Mikrus nie opuszczał żadnego przedstawienia ani koncertu, ale wpatrywał się tylko w Zazulkę, gdyż miłość ku niej zabrała mu z czasem całą duszę.

Płynęły dni i miesiące, płynęły lata, a Zazulka wciąż przebywała wśród karzełków. I chociaż dzień każdy przynosił jej nowe rozrywki, tęskniła nieustannie za ziemią. Wyrastała na przesliczną pannę, a szczególne koleje życia kładły dziwny cień na jej twarzy, czyniąc ją jeszcze miłszą dla oka.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym skarbiec króla Mikrusa jest jak najdokładniej opisany

Sześć lat upłynęło od czasu, gdy Zazulka zamieszkała wśród karzełek. Pewnego razu król Mikrus zaważwał ją do swego pałacu i w jej obecności rozkazał skarbnikowi odsunąć duży kamień, który zdawał się być wmurowany w ścianę, ale w rzeczywistości był tylko o nią oparty. Wszyscy troje weszli w czarną paszczę lochu, zwężającego się w szczelinę skalną tak ciasną, że dwie osoby nie mogły tam iść obok siebie. Król Mikrus postępował przodem, tuż za nim szła ciemnym korytarzem Zazulka trzymając się poły monarszego płaszcza. Długo tak szli w milczeniu. Miejscami ściany skalne zbliżały się ku sobie tak bardzo, że Zazulka obawiała się, iż uwięźnie na zawsze między nimi, nie mogąc się ani cofnąć, ani iść naprzód. A płaszcz królewski mknął wciąż przed nią wąską i ciemną ścieżką. Wreszcie Mikrus dotarł do drzwi kutych w brązie i otworzył je. Buchnęło oślepiające światło.

– Maleńki królu Mikrusie! – wykrzyknęła Zazulka. – Dziś dopiero widzę, jak piękną rzeczcią jest światło!

Król Mikrus ujął jej rękę i wprowadził ją do sali, skąd płynął blask, po czym rzekł:

– Spójrz!

W pierwszej chwili Zazulka nic zobaczyć nie mogła, gdyż cała ta olbrzymia komnata, wsparta na potężnych marmurowych kolumnach, jaśniała od podłogi do powały jaskrawym lśnieniem złota.

W głębi sali na podwyższeniu zbudowanym z błyszczących rzeźbionych kamieni, oprawionych w złoto i srebro, wznosił się tron z kości słoniowej i złota, z baldachimem z przejrzystej emalii. Stopnie tronu były zasłane przepięknie haftowanym kobiercem. Z obu Jego stron, z olbrzymich waz, cyzelowanych niegdyś przez największego artystę plemienia krasnoludków, wystrzelały dwie potężne palmy, mające przeszło trzy tysiące lat. Król Mikrus zasiadł na tronie, po czym skinął na Zazulkę, by stanęła po jego prawicy, i rzekł:

– Zazulko, oto mój skarbiec. Wybierz sobie z niego, co ci się podoba!

Marmurowe kolumny obwieszane były ogromnymi puklerzami kutymi w złocie. Promienie słońca odbijały się od nich rzucając snopy iskier. Na końcach skrzyżowanych lanc i mieczów płonęły migotliwe błyski. Stoły pod ścianami skarbcza ugięły się od ciężaru pucharów, dzbanów, kielichów mszalnych, monstrancyj, czerpaków i kubków ze złota, rogów z kości słoniowej ujętych w srebrne pierścienie, olbrzymich flasz z kryształu górskiego, ozdobnych mis złotych i srebrnych, puzderek, relikwiarzy w kształcie kościółków, kadzielnic, zwierciadeł, świeczników i kaganków przedziwnie wyrobionych z najcenniejszych metali. Były tam również małe kadzielniczki w kształcie dziwacznych potworków, służące do spalania wonności. Nie brakowało i szachów wyrzeźbionych z księżycowego kamienia.

– Wybieraj, Zazulko – powtórzył król Mikrus.

Ale Zazulka patrzyła w górę, bo przez otwór w powale widać było błękit nieba; pojęła nagle, że wszystkie te skarby zawdzięczają swój blask światłu słonecznemu, i wyrzekła tylko te słowa:

– Maleńki królu Mikrusie, pozwól mi wrócić na ziemię. Wtedy król Mikrus skinął na skarbnika, który spieszenie uniósł ciężkie draperie odsłaniając olbrzymią skrzynię zbrojną w żelazne sztaby i najdziwniejsze okucia. Skoro odchylił wieko skrzyni, trysnęło z niej tysiące promieni o prześlicznych tęczyowych barwach. Biły one z drogich kamieni artystycznie oszli-

fowanych. Król Mikrus zanurzył w skrzyni ręce i poprzez jego palce jeły przelewać się świetlistą burzą fiołkowe ametysty i szmaragdy o troistej naturze: jedne ciemnozielone, drugie koloru miodu i trzecie – beryle – mieniające się błękitem, zsyłające piękne sny. Były tam wschodnie topazy i purpurowe rubiny, piękne jak krew mężnych rycerzy. Ciemne szafiry i szafiry bładoniebieskie. Były tam hiacynty, turkusy, akwamaryny, syryjskie granaty i opale, w których grały łagodne barwy świtu. Wszystkie te kamienie były najczystszej wody i świeciły cudownym blaskiem. Pośród tęczowych ogni wielkie diamenty rzucały oślepiające iskry.

– Wybieraj, Zazulko – rzekł po raz trzeci król Mikrus.

Ale Zazulka potrząsnęła tylko głową.

– Maleńki królu Mikrusie, od wszystkich twoich klejnotów droższy mi jest jeden z tych promieni słonecznych, które się załamują na łupkowym dachu mojego rodzinnego domu.

<<rys 5>>

Wtedy król Mikrus rozkazał otworzyć drugą skrzynię. Były w niej perły okrągłe i bez skaży, a ich zmienne barwy przybierały wszystkie odcienie nieba i głębin morskich. Blask ich był tak słodki jak spojrzenie pełne miłości.

– Weź je, Zazulko! – powiedział król karłów.

Ale Zazulka odparła:

– Maleńki królu Mikrusie, perły te przypominają mi oczy Jantarka. Podobają mi się bardzo, ale milsze mi są źrenice mojego braciszka.

Posłyszawszy te słowa król Mikrus odwrócił głowę. Po chwili otworzył trzecią skrzynię i pokazał dziewczęciu kawałek kryształu, w którym tkwiła kropla wody uwięziona tu od początku świata, kropla ta drżała, gdy się potrząsało kamieniem. Pokazał także Zazulce bryłki bursztynu, w których owady barwniejsze od drogich kamieni zachowały się przez miliardy lat. Widać było doskonale ich maleńkie łapki i cieniutkie różki, uleciałyby z pewnością w powietrze, gdyby jakaś tajemna moc roztopiła jak okrucuch lodu ich pachnące więzienie.

– Oto są największe cuda przyrody – rzekł król Mikrus. – Weź je sobie, Zazulko.

A Zazulka odrzekła:

– Maleńki królu Mikrusie, zatrzymaj dla siebie kryształ i bryłki bursztynu, gdyż nie umiałabym wyzwolić z więzienia ani tych muszek, ani tej kropli wody.

Król Mikrus uważnie patrzył przez chwilę na dziewczynę, po czym rzekł:

– Zazulko, największe skarby świata mogą należeć do ciebie. Bo choć ty nimi zawładniesz, one nie zawładną tobą. Skąpiec jest niewolnikiem swego złota. Ci jednak, którzy gardzą bogactwem, mogą bezpiecznie stać się bogaczami, bowiem ich dusza zawsze się wzniesie ponad to, co posiadają.

To rzekłszy skinął na skarbnika, który podał na poduszce złotą koronę.

– Przyjmij ten klejnot, jako dowód naszej czci, Zazulko – rzekł król. – Od dziś będziesz władczynią karzełków. I własnoręcznie włożył koronę na głowę dziewczęcia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY *w którym król Mikrus oświadcza się*

Krasnoludki święciły radośnie koronację swojej pierwszej władczyni. W olbrzymim amfiteatrze igraszki trwały przez trzydzieści dni. Małe ludziki z gałązką paproci lub dwoma liśćmi dębu, zalotnie przyklejonymi do kapturów, w uciesznych podskokach krążyły po podziem-

nych ulicach. Upojony szczęściem Bzik zachowywał natchniony wyraz twarzy. Cnotliwy Ład radował się szczęściem ogółu. Tkliwy Puk ronił łzy rozczulenia. Mruk z wielkiej radości dopominał się znowu, by Zazulkę zamknięto w klatce, gdyż obawiał się, by nie zaginęła im uroczą księżniczka. Fik–Mik, przelatując na swoim kuku, wznosił tak wesołe okrzyki, że nawet czarny ptak się rozochocił i od czasu do czasu krakał zawadiacko.

Jeden tylko król Mikrus był smutny.

Wreszcie trzydziestego dnia, podczas wspaniałej uczy wydanej ku czci królowej dla całego plemienia karlików, król Mikrus wszedł na stół i dosięgnąwszy w ten sposób ucha Zazulki, szepnął:

– Księżniczko Zazulko, pragnę przedstawić d prośbę, którą możesz przyjąć lub odrzucić. Zazulko, królowo karzełków, czy chcesz być moją żoną?

Tkliwość i powaga malowały się na obliczu króla Mikrusa, gdy wymawiał te słowa. Nigdy bardziej niż w tej chwili nie przypominał łagodnego, dostojnego pudła.

Zazulka pociągnęła go pieszczotliwie za brodę.

– Maleńki królu Mikrusie – odpowiedziała – jeżeli chcesz być moim mężem na żarty, to nie mam nic przeciwko temu. Ale naprawdę żoną twoją nigdy nie będę. Kiedy mnie prosisz o rękę, przypomina mi się Szczerogęba, który tam na ziemi opowiadał mi dla zabawy najbardziej nieprawdopodobne historie.

Król Mikrus odwrócił głowę, nie dość szybko jednak, by Zazulka nie dojrzała łzy, która zawisła na jego rzęsach. Wtedy żał jej się zrobiło, że sprawiła mu przykrość.

– Maleńki królu Mikrusie – rzekła – wiesz, że cię kocham, jak się kocha maleńkiego króla Mikrusa. I nie powinieneś mi brać za złe, że cię przyrównałam do Szczerogęby, bo Szczerogęba układał bardzo ładne piosenki i byłby nawet dość powabny, gdyby nie jego siwe włosy i wielki czerwony nos.

Na to król Mikrus odpowiedział:

– Zazulko, księżniczko Żyznych Pól, królowo karzełków, kocham cię i nie tracę nadziei, że i ty mnie kiedyś pokochasz. Zresztą, gdybym nie miał tej nadziei, kochałbym cię zupełnie tak samo. Proszę cię o jedno tylko – w zamian za moją miłość – bądź zawsze ze mną szczerą.

– Obiecuję ci to, maleńki królu Mikrusie!

– Więc powiedz mi, Zazulko, czy kochasz kogo tak mocno, byś pragnęła zostać jego żoną?

– Nie, maleńki królu Mikrusie, tak mocno nie kocham nikogo.

Król Mikrus uśmiechnął się i chwyciwszy złotą czarę donośnym głosem wznosił zdrowie młodej królowej. Nieopisana wrzawa wstrząsnęła całym podziemiem, gdyż stół biesiadny ciągnął się od jednego do drugiego krańca państwa karzełków.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

w którym opowiedziano, jak Zazulka ujrzała swą matkę, ale nie mogła jej uściskać

Odkąd czoło Zazulki ozdobiła królewska korona, smutek i zaduma nawiedzały ją częściej niż wówczas, kiedy włosy jej spływały na ramiona i kiedy ze śmiechem wpadała do kuźni karzełków, by pociągnąć za brodę swych przyjaciół – Fika–Mika, Łada, Brzdęka i Puka. Na jej widok oblicza krasnoludków, zarumienione od blasku płomieni, rozjaśniały się radośnie. Pocziwe karliki, które jeszcze tak niedawno huśtały ją na kolanach i nazywały Zazuleńką,

chyliły się teraz przed nią w milczących pokłonach. I Zazulka żałowała, że przestała już być dzieckiem, smuciło ją, że jest królową krasnoludków.

Od czasu gdy król Mikrus płakał z jej powodu, spotykała się z nim niechętnie, lecz lubiła go zawsze serdecznie, ponieważ był dobry i nieszczęśliwy.

Pewnego dnia (jeśli w ogóle może być mowa o dniach w państwie krasnoludków) Zazulka wzięła króla Mikrusa za rękę i poprowadziła go ku szczelinie skalnej. Wpadał tamtędy promień słońca, w którym tańczyły złociste pyłki.

– Małeńki królu Mikrusie – powiedziała księżniczka – źle mi na świecie. Kochasz mnie, jesteś królem, a mnie jest bardzo źle.

Na tę skargę ślicznej dziewczyny król Mikrus odpowiedział:

– Kocham cię, Zazulko, księżniczko Żyznych Pól, królowo krasnoludków. I dlatego zatrzymałem cię w naszych podziemiach, by udzielić ci wiedzy, która stokroć przewyższa wszystko, czego mogliby nauczyć cię ludzie. Są oni bowiem o wiele mniej zdolni i uczeni od nas.

– Być może – odrzekła Zazulka – ale za to są o wiele podobniejsi do mnie niż wy. I pewnie dlatego wolę ich od krasnoludków. Małeńki królu Mikrusie, pozwól mi zobaczyć się z matką, księżną Żyznych Pól, jeżeli nie chcesz, abym umarła z żalu.

Ale król Mikrus oddalił się nie wymówiwszy ani słowa. Zrozpaczona Zazulka siedziała samotnie i patrzyła na promień słońca, w którego blasku pławi się tam na górze cała ziemia, którego płomienne fale przenikają wszystkich ludzi – nawet żebraków wędrujących po gościńcach. Z wolna promień poszarzał, a złocisty blask ustąpił miejsca błękitnawej poświacie. Noc zeszła na ziemię. Gwiazda zamigotała w górze nad szczeliną skalną.

W tej chwili ktoś dotknął lekko ramienia Zazulki; ujrzała króla Mikrusa odzianego w czarną oponczę. Miał ze sobą długi płaszcz, którym okrył księżniczkę.

– Pójdź, Zazulko! – rzekł.

I wyprowadził ją z podziemi.

Gdy Zazulka ujrzała znowu drzewa targane wiatrem, chmury przesłaniające tarczę księżyca, gdy przeniknął ją chłód bezbrzeżnej, błękitnej nocy, gdy owionął ją zapach ziół, a powietrze, którym oddychała w dzieciństwie, nappełniło jej pierś – westchnęła głęboko i zdawało jej się, że umiera ze szczęścia.

Król Mikrus wziął dziewczynę w ramiona. Pomimo małego wzrostu niósł ją z taką łatwością, jakby nie była cięższa od piórka. I sunęli nad ziemią, podobni do cieni przelatujących ptaków.

– Zazulko, za chwilę ujrzysz matkę. Ale posłuchaj, co ci powiem. Co noc, jak wiesz, twój wizerunek ukazuje się we śnie księżnej Żyznych Pól, która uśmiecha się do ukochanej zjawy, mówi z nią i okrywa ją pocałunkami. Dziś pokażę jej żywą istotę zamiast mary sennej. Nie wolno ci jednak ani przemówić do matki, ani jej dotknąć. Gdybyś warunek ten złamała, czar pryśnie i nigdy już księżna nie ujrzy ani ciebie, ani twego obrazu, który bierze za ciebie samą.

– Małeńki królu Mikrusie, przyrzekam ci, że będę ostrożna... O Boże! To zamek mój, to zamek!

Rzeczywiście, baszta zamkowa, czarna w mroku nocy, widniała na wzgórzu. Zaledwie Zazulka przesłała pocałunek ukochanym murom, a już minęli wały obronne obsiane maciejką. Jeszcze chwila, a już wspinali się po pochyłości wzgórza, gdzie świetliki błyszcząły w trawie, aż do bramy zamkowej. Król Mikrus otworzył ją bez trudu, nie istnieje bowiem kłódka, zasuw, łańcuch czy krata, które mogłyby się ostać mocy krasnoludka.

Zazulka przebiegła kręte schody wiodące do sypialni matki. U drzwi przystanęła i obiema dłońmi przycisnęła gwałtownie bijące serce. Drzwi otworzyły się bez szelestu i w świetle lampki nocnej Zazulka ujrzała matkę, wychudzoną i pobladłą, z włosami siwiejącymi na skroniach, lecz dla córki piękniejszą jeszcze niż w owe dni, gdy stroiły ją kosztowne szaty, a

dzielny rumak unosił przez dalekie drogi. Księżna śniła właśnie, że Zazulka wchodzi do jej komnaty, i wyciągnęła obie ręce, by ją przygarnąć i uściskać. Dziewczyna, szlochając i śmiejąc się, chciała się rzucić w jej ramiona. Ale król Mikrus pochwycił ją i poniósł, poprzez pola tonące w błękitnym mroku, w głąb podziemnego państwa karzełków.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

w którym zobaczymy, jak wielkie zmartwienie dotknęło króla Mikrusa

I znowu siedziała Zazulka na granitowych stopniach podziemnego pałacu, zapatrzona w skrawek błękitu widniejący przez szczelinę skały. Hen w górze krzew dzikiego bzu zwracał ku światłu białe baldaszki kwiatów. Zazulka zaczęła płakać. Król Mikrus wziął ją za rękę i zapytał:

– Zazulko, powiedz mi, czemu płaczesz? Czego ci brak? Już od kilku dni smutek nie opuszczał królowej, toteż karły, siedząc u jej stóp, wygrywały jej na flecie, piszczałce, cymbałach i skrzypczkach na j skoczniejsze melodie. Inne znowu, aby ją zabawić, fikały pocieszne kozły wbijając w trawę spiczaste kaptury ozdobione kokardami z dębowych liści. Widok tych małych ludzików, o brodach siwych jak u pustelników, igrających jak swawolne dzieciaki, był niezmiernie uciuszny, ale łzy nie przestawały płynąć z oczu Zazulki. Cnotliwy Ład i sentymentalny Puk, zakochani w Zazulce od chwili, gdy ją ujrzeni śpiącą nad brzegiem jeziora, i stary poeta Bzik – dotykali delikatnie jej ręki błagając, aby wyjawiała im przyczynę swego smutku. Pocziwy Brzdęk w prostocie ducha podał jej na pociechę koszyczek winogron. Wszyscy raz po raz pociągali ją za kraj szaty, powtarzając za królem Mikrusem:

– Zazulko, królowo nasza, powiedz nam, czemu płaczesz?

Zazulka odpowiedziała:

– Maleńki królu Mikrusie i wy, moje krasnoludki! Współczujecie mi, bo macie dobre serduszka, i płaczecie razem ze mną. Wiedźcie zatem, że nie mogę powstrzymać łez, gdy myślę o Jantarku ze Srebrnych Wybrzeży. Zapewne jest on teraz dzielnym rycerzem, a ja nigdy go nie zobaczę. Czuję, że go kocham i że jedynie jego mogłabym poślubić.

Na te słowa król Mikrus wypuścił dłoń księżniczki, którą tulił w swojej, i rzekł:

– Czemu mnie okłamałaś, Zazulko? Wszak twierdziłaś wtedy, przy biesiadnym stole, że nie kochasz nikogo. Zazulka odparła:

– Maleńki królu, nie okłamałam cię wtedy, przy biesiadnym stole. Wówczas nie chciałam jeszcze być żoną Jantarka ze Srebrnych Wybrzeży, chociaż dzisiaj niczego bardziej nie pragnę. Ale nigdy Jantarek nie poprosi o moją rękę, bo nie wie, gdzie mnie szukać, a ja także nie wiem, gdzie mój miły przebywa. I dlatego płaczę.

Na te słowa muzykanci przestali grać na swych instrumentach, a skoczkiwie znieruchomieli, każdy w innej postawie. Ład i Puk cichymi łzami zraszali rękawy Zazulki. Dobroduszny Brzdęk wypuścił z rąk koszyczek z winogronami i wszystkie krasnoludki zaczęły jęczeć okropnie.

A król karłów, cierpiąc stokroć gwałtowniej niż wszyscy jego poddani, oddalił się bez słowa w koronie jarzącej się od klejnotów. Za nim włókł się purpurowy płaszcz niby strumień serdecznej krwi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

w którym słowa uczonego Wodnika napęlniają radością króla Mikrusa

Król Mikrus nie okazał Zazulce, jak boleśnie ugodziło go jej wyznanie. Ale gdy został sam, usiadł na ziemi, splecionymi dłońmi objął kolana i dał folgę swej rozpaczycy.

Zazdrość szarpała nim i tak rozmyślał:

„Kocha więc, ale nie mnie wybrało jej serce! A przecież jestem królem i głowa moja pełna jest mądrości. Posiadam niezmierzone bogactwa, znam najcudowniejsze tajemnice. Jestem najdoskonalszym z krasnoludków, a wiadomo, że krasnoludki o wiele przewyższają ludzi. I oto ona nie kocha mnie; kocha człowieka, który nie tylko nie posiada wiedzy karłów, ale może nawet nic w ogóle nie umie. Jakże więc mało ceni Zazulka zasługę, jak mało sama okazuje rozumu. Powinien bym śmiać się z jej nierozsądku. Ale kocham ją i odkąd wiem, że ona mnie nie kocha, nic mi na tym świecie nie jest miłe”.

Przez wiele dni błąkał się król Mikrus po najdzikszych górskich urwiskach, a w głowie jego kłębiły się bolesne, niekiedy nawet złe myśli. I tak rozważał kiedyś, czyby nie zmusić Zazulki głodem i więzieniem, by została jego żoną. Natychmiast jednak odrzucił tę pokusę. Postanowił paść do nóg księżniczki i błagać ją o zmiłowanie. Lecz i to wydało mu się bezcelowe – nie wiedział już, co począć. Istotnie, nie od niego zależało, by go Zazulka pokochała. Niekiedy gniew jego zwracał się nagle ku Jantarkowi ze Srebrnych Wybrzeży. Pragnął, by jakaś moc czarnoksięska rzuciła młodzieńca na krańce świata albo aby przynajmniej, jeśli spotka się z Zazulką, wzgardził jej miłością.

„Nie jestem stary – dumiał król – żyłem jednak dość długo, by poznać, czym jest cierpienie. Ale choć ból mój bywał nieraz dotkliwy, nie było w nim tej goryczy, którą dzisiaj czuję. Tkliwość i litość łagodziły go swoją słodyczą. Dziś natomiast czuję, że ból mój jest mroczny i palący jak złe pożądanie. Dusza moja stała się twarda i dzika, a łzy, które zalewają mi oczy, pieką jak żrący jad”.

Tak rozmyślał król Mikrus. Lękał się, by zazdrość nie uczyniła go podłym i niesprawiedliwym, unikał więc spotkania z Zazulką; nie chciał, by na jego usta wybiegły mimo woli gorzkie słowa, godne słabego i gwałtownego człowieka.

Pewnego dnia, gdy myślał, że Zazulka kocha Jantarkę, dręczyła go dotkliwiej niż kiedykolwiek, postanowił zasięgnąć rady najmądrszego z karłów. Wodnika, mieszkającego na dnie głębokiej studni wydrążonej we wnętrzu ziemi.

W studni tej panowało zawsze równomierne, łagodne ciepło. Nie było w niej ciemno, gdyż oświetlały ją na przemian małe czerwony księżyc i blade, nieduże słońce. Król Mikrus zszedł w głąb studni i zastał Wodnika w jego pracowni. Wodnik miał wygląd poczciwego starszuszka, a kaptur jego zdobił pęczek macierzanek. Pomimo niepospolitej wiedzy był równie prosty i łagodny jak całe plemię krasnoludków.

– Wodniku – rzekł król Mikrus uściskawszy go – wiem, jak wiele umiesz, przychodzę więc prosić cię o radę.

– Królu Mikrusie – odparł Wodnik – mógłbym umieć jeszcze więcej i być pospolitym głupcem. Ale mam zdolność przyswajania sobie ciągle drobnej cząstki tego, o czym jeszcze

nic nie wiem, i dlatego zapewne uważają mnie, nie bez słuszności zresztą, za człowieka uczonego.

– A więc – podjął król Mikrus – powiedz mi, czy nie wiesz, gdzie w obecnej chwili może przebywać młody człowiek, którego nazywają Jantarkiem ze Srebrnych Wybrzeży?

– Nie wiem tego i nigdy nie przyszło mi na myśl zajmować się tym chłopcem. Wiedząc, jak bardzo ludzie są głupi, źli i tępi, nie dbam o to, co myślą i co czynią na ziemi. I chociaż – aby nadać jakąś wartość tej pysznej i nędznej rasie – obdarzono mężów odwagą, niewiasty – urodą, a dzieci – niewinnością, ludzkość cała jest śmieszna i politowania godna. Ludzie, poddani tak jak i karły konieczności pracy, buntują się przeciwko temu boskiemu prawu i zamiast za naszym przykładem pracować obojętnie wolą prowadzić wojny, wolą tępić się niż pomagać sobie jak bracia.

Trzeba jednak przyznać po sprawiedliwości, że krótkie życie ludzi jest główną przyczyną ich głupoty i dzikości. Żyją zbyt krótko, by móc nauczyć się żyć. Plemię krasnoludków, ukryte w łonie ziemi, jest lepsze i szczęśliwsze. Nie jesteśmy wprawdzie nieśmiertelni, lecz

<<rys 6>>

trwać będziemy równie długo jak ziemia, w której wnętrzu mieszkamy i która przenika nas swym tajemnym ciepłem, gdy tymczasem dla istot żyjących na jej szorstkiej skorupie ma ona tchnienie już to palące jak ogień, już to mrozące jak lód, siejące życie i śmierć na przemian. Jednakże nadmiar niedoli i zła budzi w duszach niektórych ludzi pewną cnotę, która je czyni piękniejszymi niż dusze karzełek. Ta cnota, której wspaniałość jest tym dla myśli, czym łagodny blask pereł dla oczu, nazywa się współczuciem. Cnotę ową zaszczerpia w duszy cierpienie; my, krasnoludki, nie znamy jej prawie, gdyż jako rozumniejsi od ludzi cierpimy o wiele mniej niż oni. I dlatego niektórzy z nas opuszczają podziemne pieczary i żyją wśród ludzi na srogiej skorupie ziemskiej. Kochają i cierpią razem z nimi, aby poznać uczucie litości, które jest rosą niebiańską dla duszy. Oto jest prawda o ludziach, królu Mikrusie! Zdawało mi się jednak, że chciałeś się dowiedzieć, jakie są losy któregoś z poszczególnych mieszkańców ziemi?

Król Mikrus powtórzył swoje pytanie, a stary Wodnik spojrział przez lunetę, których mnóstwo zalegało izbę. Karły nie mają książek. Jeżeli jakaś księga zaplątała się do ich państwa, pochodzi z pewnością od ludzi i służy wyłącznie do zabawy. Pragnąc się czegoś dowiedzieć karzełki nie zasięgają rady małych znaczków na papierze, lecz spoglądają przez czarodziejskie lunety i natychmiast widzą żądany przedmiot. Cała trudność polega na wyszukaniu odpowiedniej lunety i nastawieniu jej jak należy. W państwie krasnoludków bywają lunety z kryształu i topazu. Ale takie, których soczewkę tworzy wielki, polerowany diament, mają większą siłę i służą do oglądania przedmiotów bardzo oddalonych.

Niektóre soczewki karzełki robią z jakiejś przezroczystej, nie znanej ludziom materii. Pozwala ona oczom przenikać mury i skały. Inne, jeszcze dziwniejsze, odtwarzają z wiernością zwierciadła wszystko to, co czas uniósł w przeszłość.

Karły umieją bowiem ściągnąć do swych pieczar z międzygwiazdnych przestrzeni blask minionych dni wraz z kształtami i barwami zamierzchłych czasów. Oglądają przeszłość pochwycawszy promienie świetlne, które ongiś załamywały się na postaciach ludzi, zwierząt, roślin i skał i spływały przez wieki w bezdenne głębiny niebios.

Stary Wodnik słynął z umiejętności wskrzeszania wypadków zaszłych nie tylko w starożytności, ale i w czasach nie ogarniętych myślą człowieka, kiedy kula ziemską nie miała jeszcze tej postaci, co dzisiaj. Toteż zabawką było dla niego odnalezienie Jantarka ze Srebrnych Wybrzeży.

Popatrzwszy przez najzwyczajszą lunetę niespełna minutę, rzekł do króla Mikrusa:

cerskie, nic z tego prostactwa, które przypomina ziemię i jej trudy. Żyć będziesz otoczony miłością boginek, wśród pieśni i płasów.

Kobiety o zielonych włosach nauczyły wkrótce Jantarka muzyki, tańca i rozmaitych gier. Lubiły wieńczyć mu czoło muszlami, które zdobiły ich włosy. Lecz chłopiec nie przestawał myśleć o swej ojczyźnie i gryzł do krwi usta hamując bezsilny gniew.

Płynęły lata, a Jantarek coraz goręcej pragnął wydostać się na ziemię. Na tę surową ziemię, którą pali słońce i skuwa lód, na ziemię rodzinną, gdzie się kocha i cierpi i gdzie pozostała jego siostrzyczka Zazulka.

Chłopiec wyrósł i zmeźniał, delikatny puszek począł mu złocić górną wargę. Snadź razem z wąsami przybyło mu i odwagi, bo pewnego dnia stanął się przed królową i skłoniwszy się przed nią, rzekł:

– Przychodzę pożegnać cię, pani. Pragnę, za łaskawym twym zezwoleniem, powrócić do zamku Żyznych Pól.

– Miły mój – uśmiechnęła się królowa – nie mogę udzielić ci pozwolenia, o które mnie prosisz, bo sprowadziłam cię do tego zamku, by z czasem uczynić cię mym oblubieńcem.

– Pani – odparł na to Jantarek – nie godzien jestem takiego zaszczytu !

– Dworność przemawia przez ciebie. Żaden prawy rycerz nie czuje się godzien miłości swojej pani. Jesteś poza tym zbyt młody, by znać już swoją wartość. Wierz mi, mój miły, że pragnę tylko twego dobra. Bądź powolny swej damie, niczego więcej nie żądam.

– Pani! Ja kocham Zazulkę, księżniczkę Żyznych Pól, i nie chcę mieć innej damy poza nią!

Nagła bladeść pokryła lica królowej czyniąc ją jeszcze piękniejszą.

– Jak to?! – krzyknęła. – Kochasz dziewczynę śmiertelną, jakąś prostaczkę, jakąś Zazulkę? Jak to się mogło stać?!

– Nie wiem, ale czuję, że ją kocham.

– Niech i tak będzie. To przejdzie.

I królowa zatrzymała młodzieńca w swym rozkoszonym, kryształowym zamku.

Dniami całymi błądził Jantarek wzdłuż murów olbrzymiej budowli szukając na próżno jakiejś szczeliny, którą mógłby się wydostać na ziemię. Lecz wspaniałe, milczące królestwo wód otaczało zewsząd jego świetliste więzienie. Skroś przejrzystych ścian widział rozkwitające korale i anemony, a ponad delikatnymi, lśniącoymi muszlami purpurowe, złote i błękitne rybki zapalały jednym uderzeniem płetw tysiące iskier. Na cuda te patrzył Jantarek obojętnie, ale kołysany upajającym śpiewem boginek czuł, że pomалу słabnie w nim wola, a dusza traci tężyźnię.

Z tego stanu obojętności i lenistwa wyrwała go dopiero znaleziona przypadkowo stara, zniszczona książka, oprawiona w świńską skórę, ozdobiona wielkimi okuciami z miedzi. Księgę tę przyniesiono z rozbitego okrętu, a treścią jej były przygody dzielnych rycerzy, którzy dla własnej chwały i zdobycia serc wybranych dam przebiegali szeroki świat. Walczyli z olbrzymami, nieśli pomstę za krzywdy, bronili wdów i sierot w imię sprawiedliwości, honoru i piękna. Jantarek bladł i rumienił się z zachwyty, wstydu i gniewu czytając tę cudowną książkę.

– I ja będę rycerzem! – wykrzyknął wreszcie. – I ja przewędruję świat, karząc nikczemnych i wspomagając uciśnionych, dla dobra ludzi, na cześć pani mojej, Zazulki!

– Serce Jantarka wezbrało takim męstwem, że z obnażonym mieczem wbiegł w kryształowe krużganki. Białe postacie boginek umykały przed nim jak srebrne fale jeziora. Ale królowa nie uległa się młodzieńca. Utkwiła w nim chłodne spojrzenie swych zielonych źrenic.

Jantarek rzucił się ku niej.

<<rys 7>>

– Zdejm czar, którym mnie opętałaś! – krzyknął. – Otwórz mi drogę na ziemię! Chcę wjawać w słońcu, jak wszyscy rycerze! Chcę wrócić tam, gdzie ludzie kochają, cierpią i walczą. Wróć mi prawdziwe życie i prawdziwe światło! Wróć mi cześć rycerską! Inaczej zginiiesz, niegodna!

Królowa z uśmiechem potrząsnęła głową. Była spokojna i piękna. Jantarek rzucił się ku niej i ciął z całej mocy. Lecz miecz jego rozprysnął się na świetlistej piersi królowej wód.

– Dzieciaku! – rzekła.

I rozkazała zamknąć go w lochu pod zamczyskiem. Był to wielki lej kryształowy, wokół którego krążyły rekiny rozwierając potworne paszczęki zbrojne w potrójne rzędy spiczastych zębów. Zdawało się, że przy każdym poruszeniu rozbijają cienką ścianę, tak że nikt w tym więzieniu nie mógł ani na chwilę zmrużyć oka.

Podstawa tego podwodnego leja opierała się na skalistym sklepieniu najodleglejszej i najmniej uczęszczanej groty państwa krasnoludków.

Oto, co ujrzeli król Mikrus i Wodnik. W niespełna godzinę dowiedzieli się wszystkiego o Jantarku z taką ścisłością, jakby śledzili dzień po dniu jego życie. Stary Wodnik odtworzył ponurą scenę w lochu, przemówił do króla tak, jak przemawiają do dzieci wędrowni Sa-baudczycy, kiedy pokażą im cuda magicznej latarni:

– Pokazałem ci, królu Mikrusie, wszystko, co pragnąłeś zobaczyć. Nic już dodać nie mogę.

Nie obchodzi mnie, czy to, co ujrzalesz, sprawiło ci przyjemność, wystarczy mi, że odtworzyłem prawdę. Wiedza nie dba o to, by się komuś przypodobać, gdyż wiedza nie liczy się z ludzkimi uczuciami. I nie ona, lecz poezja pociesza i czaruje. Dlatego poezja potrzebniejsza jest od nauki. Wracaj do domu, królu Mikrusie, i każ sobie zaśpiewać piosenkę.

I król Mikrus bez słowa opuścił studnię starego Wodnika.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

w którym król Mikrus udaje się na straszliwą wyprawę

Opuściwszy studnię wiedzy król Mikrus poszedł do swego skarbcza, ze skrzyni, od której klucz zawsze nosił przy sobie, wyjął pierścień i wsunął go na palec. Kamień wprawiony w ów pierścień rzucał mocny blask, był to bowiem kamień czarodziejski, którego potęgę poznamy w dalszym ciągu tego opowiadania.

Po czym król Mikrus wstąpił do pałacu, gdzie narzucił na ramiona płaszcz podróżny, wzięł grube buty, w rękę wziął potężny kostur i ruszył w drogę. Mijał ludne ulice, szerokie gościńce, wsie i miasteczka, galerie porfirowe, kopalnie nafty i kryształowe groty łączące się ze sobą wąskimi korytarzami.

Szedł pogrążony w myślach, szepcząc do siebie słowa bez związku. Nie przystawał ani na chwilę. Jeśli drogę zagraadzały mu góry, wspinał się na ich szczyty. Jeśli u stóp jego rozwięrały się przepaście, zstępował w ich głąb. Przebywał brody, mijał straszliwe okolice, mroczne od wyziewów siarki. Był tak upartym wędrowcem, że stapał po rozpalonej lawie, na której buty jego znały głębokie ślady. Wreszcie zapuścił się w ponurą jaskinię, gdzie przez szczeliny skalne sączyła się kropla po kropli woda morska i spływając jak łyzy tworzyła na nierównym gruncie małe jeziora. Niezliczone skorupiaki rozrastały się w nich do potwornych rozmiarów. Olbrzymie kraby, raki, homary i pająki morskie trzaskały pod stopami karła. Uciekały w popłochu, budząc po drodze ohydne mątwy, wiekowe ośmiornice, które wycią-

gały setki chciwych ramion i pluły ze swych ptasich dziobów cuchnącym jadem. Ale król Mikrus nie zwolnił kroku. Doszedł do ostatniej z pieczar, gdzie kłębiły się opancerzone stworzy, zbrojne w ostre iglice i szczytce zębate jak piły. Twarde łapy wspinały mu się aż na kark, patrzyły na niego ponure ślepia, tkwiące na długich mackach. Wszedł na ścianę jaskini, czepiając się występów skalnych, nie bacząc na potwory pełzające w ślad za nim. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy na sklepieniu groty namacał dłonią odstający gład. Dotknął go swym pierścieniem i natychmiast ze straszliwym łoskotem gład runął, a pieczarę zalało dzienne światło, przed którym pierzchnęły w popłochu wylęgłe w ciemnościach potwory.

Wsunąwszy głowę przez otwór ujrzał król Mikrus Jantarka ze Srebrnych Wybrzeży, który w tym szklanym więzieniu biadał nad swym losem, tęskniąc do Zazulki i do ziemi. Król Mikrus przedsięwziął bowiem swą niebezpieczną podróż, aby uwolnić jeńca boginek wodnych. Ale Jantarek, ujrawszy wielką, kudłatą głowę z krzaczastymi brwiami, z długą brodą, i oczy przyglądające mu się z głębi szklanego leja, sądził, że grozi mu nowe niebezpieczeństwo. Sięgnął po miecz, gdyż zapomniał, że skruszył go na piersi zielonookiej królowej. Tymczasem król Mikrus przyglądał mu się z zajęciem.

– Phi – mruknął wreszcie. – Toż to jeszcze dziecko! Rzeczywiście, Jantarek był naiwnym dzieckiem i tylko dzięki temu nie uległ słodkim a niosącym śmierć pocałunkom królowej wodnych boginek. Największy filozof z całą swoją wiedzą nie byłby tak łatwo uniknął niebezpieczeństwa.

Jantarek widząc, że nie ma się czym bronić, rzekł:

– Czego tu chcesz? Po co czyhasz na mnie, kudłaty łbie? Ja przecież nie skrzywdziłem cię nigdy.

Na to król Mikrus odparł tonem na poły szorstkim, na poły dobrodusznym:

– Nie możesz wiedzieć, mój mały, czy nie wyrządziłeś mi krzywdy, gdyż nie odróżniasz przyczyn od skutków, nie masz pojęcia o odruchach duszy ani w ogóle o niczym, co ma jakikolwiek związek z filozofią. Ale dajmy temu pokój. Jeżeli opuszczenie tego leja nie sprawi ci przykrości, zejź tędy...

Bez chwili wahania Jantarek wślizgnął się do pieczary, zsunął po jej ścianie i gdy tylko znalazł się na dole, powiedział do swego wybawcy:

– Jesteś dzielny, małym człowieczkiem i kochać cię będę do końca życia. Ale czy nie wiesz, gdzie przebywa Zazulka, księżniczka Żyznych Pól?

– Wiele rzeczy jest mi wiadomych – odparł na to karzeł – a przede wszystkim to, że nie cierpię ciekawskich.

Jantarek zawstydzony i w milczeniu szedł za swym przewodnikiem w gęstych ciemnościach, gdzie kłębiły się mątwy i skorupiaki.

Król Mikrus odezwał się z lekkim przekąsem:

– Piękny rycerzyku, wybacz, że droga, którą cię wiodę, nie jest dość szeroka i wygodna.

– Droga wiodąca do wolności jest zawsze piękna – odparł Jantarek – i nie boję się zbłądzić idąc śladami mego dobroczyńcy.

Król Mikrus przygryzł wargi. Kiedy doszli do porfirowej galerii, wskazał Jantarkowi wykute w skale schody, którymi można było wydostać się na powierzchnię ziemi.

– Oto dalsza twa droga – powiedział. – Żegnaj!

– O, nie żegnaj mnie tak, panie! – zawołał Jantarek. – Pozwól mi się jeszcze zobaczyć. Życie moje należy do ciebie po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – odpowiedział karzełek – lecz dla kogoś innego. Lepiej będzie, jeżeli nie spotkamy się więcej, gdyż nie moglibyśmy żyć w przyjaźni.

– Nie sądziłem, że wyzwolenie przyniesie mi ból. A jednak tak jest. Żegnaj, panie! – powiedział Jantarek z powagą i prostotą.

– Szczęśliwej drogi! – krzyknął za nim szorstko król Mikrus. Podziemne schody zawiodły Jantarka do opuszczonego kamieniołomu, odległego od zamku Żyznych Pól zaledwie o milę drogi. Król Mikrus powędrował dalej, szepcząc:

– Ten młodzieniaszek nie posiada ani bogactw, ani wiedzy krasnoludków. Zaprawdę nie wiem, za co kocha go Zazulka. Chyba za jego młodość, piękność, wierność i odwagę.

Wchodząc do miasta uśmiechnął się pod wąsem, jak człowiek, któremu udało się wypłatać doskonałego figla. Przechodząc koło domku Zazulki, wsunął swą wielką głowę przez okienko, tak jak przed kilku godzinami wsunął ją w otwór szklanego leja, i zobaczył dziewczynę wyszywającą srebrne kwiaty na przejrzystej zasłonie.

– Raduj się, Zazulko! – zawołał.

– Maleńki królu Mikrusie – odpowiedziała Zazulka – daj ci Boże, byś nigdy nadaremnie nie pragnął niczego i byś nigdy niczego nie żałował!

Król Mikrus nie wyzbył się wprawdzie swych pragnień, ale nie żałował w tej chwili niczego; przeto z apetytem zabrał się do wieczerzy, a zjadłszy sporo bażantów nadziewanych truflami przywołał Fika–Mika.

– Dosiądź swego kruka, Fiku–Miku – rzekł – i pospiesz do królowej krasnoludków. Donieś jej, że Jantarek ze Srebrnych Wybrzeży, który przez długie lata był więźniem wodnych boginek, powrócił dzisiaj do zamku Żyznych Pól.

Zaledwie to powiedział, Fik–Mik odleciał na swym kruku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

w którym opisano, kogo niespodziewanie spotkał majster Fastryga i jaką to piosenkę wyśpiewały ptaszki księżnej Żyznych Pól

Pierwszą osobą, na którą natknął się Jantarek stanąwszy na rodzinnej ziemi, był stary krawiec majster Fastryga, który odnosił właśnie do zamku czerwone ubranie pana ochmistrza. Na widok Jantarka pocziwiec wydał okrzyk radości.

– Święty Jakubie! – zawołał. – Albo jesteście, wasza miłość, hrabią Jantarkiem ze Srebrnych Wybrzeży, który utopił się w jeziorze, będzie temu siedem lat, albo jego duchem, albo diabłem we własnej osobie.

– Nie jestem ani duchem, ani diabłem, mój zacny Fastrygo – odparł Jantarek – ale hrabią Srebrnych Wybrzeży, który dawniej nieraz zaglądał do waszego warsztatu prosząc o skrawki sukna dla lalek swej siostrzyczki Zazulki.

Majster Fastryga klasnął w ręce z wielkiego podziwu.

– Toście się nie utopili w jeziorze! – wykrzyknął. – Co za szczęście! Nie ma co mówić, wyglądacie doskonale. Mój wnuczek Piotruś, co to się zawsze prosił na ręce, żeby się wam lepiej przyjrzeć, kiedyście w niedzielę przejeżdżali konno razem z księżną panią, wyrósł także na pięknego chłopca, a i robotnik z niego nie lada jaki. Bogu najwyższemu dzięki, taki właśnie jest, jak mówię, proszę waszej miłości. Oj, będzie się cieszył, że was ryby nie zjadły w jeziorze, jakeśmy wszyscy myśleli. Nieraz prawił o tym waszym utopieniu różne pocieszne rzeczy, bo to spryt ma do wszystkiego. Oj, oplakiwaliśmy was, oplakiwali, bo to od małości byliście, paniczu, niezwykłym dzieckiem. Do końca życia nie zapomnę, że kiedym wam raz nie chciał dać igły – boście się nią mogli zakłuć niebezpiecznie – powiedzieliście, że pójdziecie do lasu i narwiecie sobie igieł sosnowych. Jakem majster Fastryga, takeście mi odpowiedzieli! Jeszcze się dziś śmiać muszę, kiedy to sobie przypomnę. Akurat tak było, nie inaczej.

Mój wnuczek Piotruś umiał także znaleźć na wszystko doskonałą odpowiedź. Z zawodu jest bednarzem, do usług waszej miłości.

– Chętnie przyjmę go do służby. Ale powiedzcie mi, mój poczciwy Fastrygo, co się dzieje z Zazulką i księżną Żyznych Pól?

– A skądże wracacie, paniczu, że nie wiecie, iż księżniczkę Zazulkę porwały karły akurat tego samego wieczora, kiedyście się utopili w jeziorze? Będzie od tego czasu siedem lat, kiedy jednego dnia księstwo Żyznych Pól utraciło obydwa swoje najwdzięczniejsze kwiaty. Księżna pani nie mogła się w żalu utulić. Toteż nieraz powtarzam, że możni tego świata mają swoje utrapienia jak i najlichsi wyrobownicy, po czym łatwo poznać, że wszyscy pochodzimy z rodu Adama i Ewy, i z czego wynika, że i pies może popatrzeć na biskupa, jak powiadają. Z wielkiej zgryzoty włosy naszej pani pobieleły i wszelka wesołość uleciała z jej oblicza. A kiedy wiosną przechadza się w swojej żalobnej szacie po grabowym szpalerze, gdzie gnieździ się tyle ptasząt, to najlichszy z tych ptaszków jeszcze jest szczęśliwszy od pani Żyznych Pól. Lecz w strapieniu swym ma jedną pociechę. O was, paniczu, nie miała żadnej wieści, ale księżniczka pokazuje jej się w snach, więc żyje na pewno.

Poczciwy krawiec plół jeszcze to i owo, ale Jantarek nie słuchał go od chwili, gdy się dowiedział, że Zazulka jest w niewoli u karzełków.

„Karliki uwięziły Zazulkę pod ziemią – dumał. – Karlik również wyzwolił mnie z kryształowego więzienia. Widocznie nie wszystkie te małe ludziki mają jednakowe obyczaje. Mój wybawca nie ma na pewno nic wspólnego z plemieniem, które porwało moją siostrzyczkę”.

Nie wiedział, co ma sądzić o tym wszystkim. Pewne było tylko jedno: że musi wyswobodzić Zazulkę.

Przechodzili tymczasem przez miasteczko, a wszystkie kumoszki stojące na progach domostw pytały się nawzajem, kim może być ten nieznamy rycerz, i przyznawały, że wielce jest urodziwy. Najbystrzejsze, rozpoznawszy młodego hrabiego Srebrnych Wybrzeży, rzuciły się do ucieczki zegnając się szeroko. Były pewne, że widzą upiora.

– Trzeba by – szepnęła pewna starucha – pokropić go wodą święconą, a rozleje się mazią albo zniknie w siarczanym dymie. Oj, nie wypuści on z diabelskich pazurów majstra Fastrygi, aż po uszy zanurzy go w ogniu piekielnym!

– Dajcie spokój, matko! – zaśmiał się jakiś mieszczanin. – Z młodego panicza akurat taki nieboszczyk jak ze mnie albo z was. Lica ma jak róże i widzi mi się, że nie z tamtego świata przychodzi, tylko z jakiegoś dworu, gdzie bawił wśród rycerzy i pięknych dam. Ludzie wracają z dalekich podróży, moja imość. Na ten przykład koniuszy Szczerogęba, który wrócił łońskiego roku z Rzymu w sam dzień świętego Jana.

A córka płatnerza Małgosia, która długą chwilę z zachwytem patrzyła na Jantarka, w panińskiej swej izdebce padła na kolana przed obrazem świętej Dziewicy i modliła się gorąco:

– Spraw, Najświętsza Panienko, bym dostała męża kubek w kubek podobnego do tego młodego rycerza!

Wszyscy rozprawiali o powrocie Jantarka, aż w końcu wieść, podawana z ust do ust, dotarła do księżnej, która przechadzała się właśnie po sadzie. Serce jej zabiło mocno i usłyszała, że wszystkie ptaszki z grabowego szpaleru nucą:

Kiwit, kiwit, hu, hu, hu!
Syneczek twój przybrany,
Jantarek ze Srebrnych Wybrzeży,
cir, cir, cir, hu, hu, hu, idzie tu, idzie tu!

Zbliżył się Szczerogęba i skłoniwszy się dwornie, rzekł:

– Miłościwa pani, oto powrócił młody hrabia Srebrnych Wybrzeży, którego zgon oplakaliście przez lat siedem. Na cześć jego ułożę nową piosenkę.

A ptaszki wyśpiewywały na wyścigi:

Kiwit, kiwit, hu, hu, hu!
Idzie tu! Idzie tu!
Jantarek
ze Srebrnych Wybrzeży!

A gdy wreszcie księżna ujrzała młodzieńca, którego kochała jak rodzzonego syna, wyciągnęła ku niemu ręce i bez zmysłów upadła na ziemię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY *który mówi o pewnym atlasowym trzewiczku*

Nikt nie wątpił w księstwie Żyznych Pól, że Zazulkę porwały karzelki. Księżna podzielała również to mniemanie, mimo że ze snów, które ją nawiedzały, niczego pewnego dowiedzieć się nie mogła.

- Odnajdziemy ją – powtarzał Szczerogęba.
- Odnajdziemy ją – mówił Jantarek.
- I powrócimy ją matce – ciągnął Jantarek.
- I powrócimy ją matce – potakiwał Szczerogęba.
- A potem pojmiemy ją za żonę – kończył Jantarek.
- A potem pojmiemy ją za żonę – zgadzał się Szczerogęba.

Wszystkich rozpytywali o obyczaje karzelków i szczegóły tajemniczego porwania Zazulki.

Któregoś dnia odwiedzili w tym celu starą Marcychę, która przed laty wykarmiła własną piersią księżną Żyznych Pól. Dziś obrządzała drób w zamkowych kurnikach.

Tu też zastali ją rycerzyk i koniuszy. Marcycha nawoływała: „Tiu, tiu, tiu, tiutiuśki! Tiu, tiu, tiu!” – i sypała poślad kurczętom.

– Tiu, tiu, cipusie! Cip, cip, cip! A toż to nasz panicz! Czyż to możliwe, żeby panicz tak ślicznie wyrósł... cip, cip, cip... i tak zmężniał? A sio, a sio! Widzi no panicz tego grubasa, który całą strawę wyjada maleństwowi? A sio, a sio! Taki to już ten świat, paniczu. Bogatemu i diabeł dziecko kołysze. Tłusciochy tyją, a chudziaki chudną coraz więcej. Nie ma sprawiedliwości na tym padole! Czymże mogę służyć paniczowi? Może panicz nie pogardzi szklaniczką domowego piwa, co?

– Chętnie napiję się waszego piwa, Marcyczo. I uścisknę was za to, żeście wykarmili matkę tej, którą miłuję nad wszystko na świecie.

– Święta prawda, paniczu. Księżna pani miała akurat sześć miesięcy i czternaście dni, kiedy się jej wyklął pierwszy ząbek. Oj, byłaż to uciecha, była! Nieboszczka księżna obdarowała mnie wtedy jak się patrzy. Rzetelną prawdę paniczowi mówię.

– Powiedzcie mi tedy, Marcyczo, coście słyszeli o karłach i o porwaniu Zazulki?

– Bogać tam, paniczu! Nic nie wiem o karłach ani o porwaniu Zazulki. Jakżeby taka stara kobieta mogła coś wiedzieć? Nawet to, czego mnie kiedyś nauczono, wyleciało już ze starej głowy. Nie mogę nawet spamiętać, gdzie wetknęłam okulary: szukam ich nieraz, szukam, a one na nosie siedzą! Niechże też panicz raczy skosztować tego napitku. Zimny aż miło.

– Zdrowie wasze, Marcyczo! A przecież mówiono mi, że wasz mąż wiedział coś niecoś o porwaniu Zazulki.

– A jakże, a jakże, paniczu. Mój stary nie był uczony, ale po karczmach i zajazdach nasłuchał się wielu rzeczy. A wszystko sobie zawsze spamiętał dokumentnie. Żeby nieborak żył jeszcze i zasiadł tu, przy tym stole, to jakby wam zaczął bajać jedno za drugim, toby do jutra rana nie skończył. Nakładł mi tyle tych bajd w uszy, że mi się w głowie bigos zrobił; by mi co przyszło powtórzyć, to anibym wiedziała, gdzie głowa, a gdzie ogon. Dalibóg, paniczu!

Rzeczywiście, można było porównać głowę poczciwej piastunki do pękniętego kociołka. Ale Jantarek i Szczerogęba zagadywali ją dopóty, dopóki nie wyciągnęli z niej następującego opowiadania:

– Lat siedem, akurat w ten sam dzień, kiedyście wy, paniczu, wybrali się z Zazulką na ową przechadzkę, z której żadne nie wróciło, mój mąż nieboszczyk poszedł w góry sprzedawać konia. Dał mu dobrą miarkę owsa, namoczonego w jabłeczniku, żeby mu oko błyszczało i nogi stapały jak się należy, i powiódł go na jarmark, niedaleko gór. Nie potrzebował żałować ani owsa, ani jabłecznika, bo konia sprzedał drożej, niż się sam spodziewał. Bo to z byłem jak z ludźmi: tylko je każdy z wyglądu sądzi. Mój mąż nieboszczyk, ucieszony wielce z dobrej sprzedaży, zaprosił kilku przyjaciół na kufelek, idąc o zakład, że żaden go nie prześcignie. Bo trzeba wam wiedzieć, paniczu, że w całym księstwie Żyznych Pól nie było drugiego, co by mu w picciu dotrzymał placu. I tego dnia również, kiedy już wszystkich ugościł, jak wypadało, wracał o zmroku do domu; ale poszedł złą drogą, bo na dobrą nijak nie mógł trafić. Doszedł tak do pieczary w górach i raptem spostrzegł gromadę małych człeczków, którzy nieśli na noszach jakiegoś chłopca czy też dziewczynkę. Nie chcąc budzić licha, mój mąż nieboszczyk umknął, bo nawet w stanie nietrzeźwym był bardzo ostrożny. Ale o stajanie za pieczarą upadła mu fajka i schylił się, żeby ją podnieść. Aż tu zamiast fajki znalazł mały, atłasowy trzewiczek. Z tej przyczyny zrobił nawet pewną uwagę, którą zwykle powtarzał w chwilach dobrego humoru: „Pierwszy raz to się zdarza – tak powiedział – żeby fajka zamieniła się w trzewiczek”. A że to był trzewiczek paniński, więc też mu zaraz przyszło do głowy, że właścicielkę jego porwały krasnoludki i że ten pochod, który widział, to było akurat jej porwanie. Gdy chciał włożyć trzewiczek do kieszeni, opadła go banda karlików w kapturach i tak sprąła, z przeproszeniem, po gębie, że mój nieborak jak martwy zwałił się na ziemię.

– Marcyczo, Marcyczo – wykrzyknął Jantarek – to był trzewiczek Zazulki! Och, dajcie mi go, bym mógł go okryć pocałunkami! Do końca dni moich będę go nosił w pachnącym worczku na sercu, a gdy umrę, złożą go wraz ze mną do trumny.

– Wolna wola, paniczu... Ale skądże go panicz weźmie? Karły wydarły trzewiczek z rąk mego nieboszczyka męża i jak nieborak przypuszczał, za to mu taką sprawiły łaźnię, że zamierzał go włożyć do kieszeni i pokazać rajcom w grodzie. Nieraz też mawiał, kiedy był w dobrym humorze...

– Dość, dość, Marcyczo! Powiedzcie mi jeszcze tylko nazwę pieczary...

– Nazywają ją „Karlą Pieczarą”, jaśnie paniczu. I może mi panicz wierzyć, że ją trafnie nazwano. Mój mąż nieboszczyk mawiał...

– Ani słowa więcej, Marcyczo! Szczerogębo, czy wiesz, gdzie się znajduje ta pieczara?

– Panie – odparł Szczerogęba kończąc wysuszać dzban piwa – nie pytalibyście mnie o to, gdybyście znali moje pieśni, z których tuzin pieczarze tej poświęciłem. Opisałem ją tak dokładnie, że odnaleźć by w niej można po omacku każde ździebelko mchu. Śmiem twierdzić, że z tych dwunastu pieśni sześć jest prawdziwie dobrych. Sześć pozostałych nie jest również bez wartości. Zaraz je waszej miłości zaśpiewam...

– Szczerogębo! – krzyknął Jantarek. – Zdobędziemy pieczarę karłów i wyzwolimy Zazulkę!

– To więcej niż pewne – przytaknął Szczerogęba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

który opowiada o niebezpiecznej wyprawie

Z nadejściem nocy, gdy wszyscy w zamku posnęli, Jantarek i Szczerogęba wsunęli się do zbrojowni, by zaopatrzyć się w oręż. Pod okopconymi belkami pułapu błyszcząły rohatyny, koncerze, mizerykordie, miecze dwuręczne, kordelasy myśliwskie i sztylety. Było tam wszystko, czego trzeba do mordowania ludzi i wilków. Pod każdym z drewnianych tramów stała zbroja w postawie tak dumnej, jakby tkwiła w niej jeszcze dusza mężnego woja, który ją wkładał na bohaterskie wyprawy. Żelazna rękawica dzierżyła kopię, a tarcza wspierała się na płatach chroniących udo, jakby chcąc pouczyć każdego, że przezorność jest siostrą odwagi i że prawy rycerz gotów jest nie tylko do ataku, lecz i do obrony.

Jantarek wybrał spośród przeróżnych zbroi tę, którą niegdyś nosił ojciec Zazulki, wyprawiając się aż do wysp Avalon i Ultima Tule. Z pomocą Szczerogęby włożył ją, przypasał miecz nie zapominając o tarczy, na której wymalowany był herb książąt Żyznych Pól – złociście słońce. Szczerogęba wdział starą, żelazną kolczugę po swym dziadku, a na głowę nałożył staroświecki szłom, który ozdobił mocno oskubanym, zjedzonym przez mole pióropuszem.

Pocziwiec umyślnie wybrał ten strój; chciał mieć ucieśzny wygląd, wiedząc, że śmiech i wesołość, zawsze tak pożądane, oddają nieocenione usługi w chwilach niebezpieczeństwa.

Uzbroiwszy się powędrowali przez mroczne pola pod wiszącym na niebie księżycem. Już poprzednio Szczerogęba przywiązał konie na skraju lasu, niedaleko bramy zamkowej. Stały tam ogryzając korę krzewów. Rumaki te były tak rączne, że – nie bacząc na błędne ogniki i dziwaczne zjawy zagradzające im drogę – w niespełna godzinę dotarły do góry karzełek.

– Tu jest „Karła Pieczara” – rzekł Szczerogęba.

Pan i sługa zeskoczyli z koni i z mieczami w dłoniach zapuścili się w głąb jaskini. Podobne przedsięwzięcie wymagało niemałej odwagi, ale Jantarek był zakochany, a Szczerogęba wierny swemu panu. I nigdy lepszego zastosowania nie mogły znaleźć słowa najbardziej uroczego z poetów: „Czemuż nie podoła Przyjaźń przez Miłość wiedziona?”

Przez blisko godzinę pan i sługa posuwali się w ciemnościach. Wtem ze zdumieniem ujrzeli jasne światło. To płonął jeden z meteorów, które oświetlały królestwo krasnoludków.

W blasku tej podziemnej światłości zobaczyli, że stoją pod murami starego pałacu.

– Powinniśmy go zdobyć – rzekł Jantarek.

– Zapewne – odparł Szczerogęba. – Dozwólcie jednak, wasza miłość, żebym najpierw wypił łyżeczek tego winka, które cenię na równi z orężem. Bo im tęższe wino, tym mocniejszy wojownik, im mocniejszy wojownik, tym mocniejsza jego włócznia, a im mocniejsza włócznia, tym słabszy duch w nieprzyjacielu.

Nie dostrzegając nigdzie żywej duszy począł Jantarek kołatać gwałtownie głownią miecza w bramę pałacu. Wreszcie usłyszał jakiś piskliwy, drżący głosik i podniósłszy głowę ujrzał w jednym z okienek maleńkiego starowinę z długą, siwą brodą.

– Ktoście zacz? – zapytał staruszek.

– Jestem hrabia Srebrnych Wybrzeży – brzmiała odpowiedź.

– Czegóż tu chcecie?

– Obrzydłe krety! Żądam wydania Zazulki, księżniczki Żyznych Pól, którą bezprawnie więzicie w waszym kretowisku!

Karzełek znikł, Jantarek i Szczerogęba znowu zostali sami.

– Nie wiem, czy się nie mylę, wasza miłość – rzekł koniuszy – ale zdaje mi się, żeście w rozmowie z tym karłem nie zastosowali powabnych i przekonywających zwrotów.

Szczerogęba nie lękał się niczego, ale był już stary, a z biegiem lat jego serce stało się tak ogładzone jak jego łysa czaszka. Nie lubił drażnić nikogo. Za to Jantarek unosił się coraz bardziej i krzyczał coraz donośniej:

– Krety podziemne, kuny, łasice, tchórze, szczury wodne, otwierajcie bramę! Otwierajcie, bo wam uszy poobcinam!

Ledwie jednak wymówił te słowa, drzwi kute w brązie otworzyły się powoli, przy czym nie było widać, kto odemknął ich potężne zawory.

Lęk zdjął Jantarka, ale bez chwili wahania przekroczył próg tajemniczej bramy. Gdy weszli na dziedziniec, ujrzeni we wszystkich oknach, na wszystkich krużgankach, na dachach i na szczytach murów, nawet na latarniach i na rurach kominów tłumy karłów uzbrojone w łuki i kusze.

Jantarek usłyszał, że drzwi z brązu zawarły się za nimi. Grad strzał zasypał jego głowę i ramiona. Po raz wtóry zdjął go lęk niezmierny i po raz wtóry pokonał przerażenie. Z tarczą na ramieniu i z nagim mieczem w dłoni wbiega na schody pałacowe, gdy nagle na najwyższym stopniu widzi pełnego majestatu karła w koronie na głowie, ze złotym berłem w dłoni i w purpurowym płaszczu. I oto poznaje w nim małego człowieczka, który wyzwolił go z więzienia boginek wodnych. Rzuca się do jego stóp i woła ze łzami:

– Kim jesteś, zbawco mój i dobroczyńco?! Czyżbyś był jednym z tych, którzy porwali umiłowaną moją Zazulkę?

– Jestem królem tej krainy – odparł karzełek. – Zatrzymałem Zazulkę pod ziemią, aby nauczyć ją tajemnic krasnoludków. Synu mój, spadłeś na moje państwo jak nawałnica na rozkwiecony sad. Lecz krasnoludki, silniejsze od ludzi, nie tracą tak jak oni panowania nad sobą. O tyle przewyższam cię mądrością, że cokolwiek byś uczynił, nie potrafisz obudzić we mnie gniewu. Ze wszystkich moich cnót, których ci nie dostaje, jednej strzec będę najpilniej sprawiedliwości. Zawezwę tu Zazulkę i zapytam ją, czy pragnie pójść za tobą. Uczynię to nie dlatego, że ty tego żądasz, lecz dlatego, że tak uczynić powinien.

Zapadło głębokie milczenie i po chwili ukazała się Zazulka, odziana w białą suknię, z jasnymi włosami spływającymi na ramiona. Ledwie ujrzała Jantarka, podbiegła ku niemu, rzucała się w jego ramiona i przytuliła się mocno do jego rycerskiej zbroi.

Wtedy król Mikrus zapytał:

– Czy prawdą jest, Zazulko, że pragniesz zaślubić tego oto młodzieńca?

– O, tak! Tak! Tylko jego, maleńki królu Mikrusie! – wykrzyknęła Zazulka. – Spójrzcie, drogie krasnoludki, jak się śmieję, jaka jestem szczęśliwa!

To powiedziawszy rozpląkała się. Łzy jej spływały po policzkach Jantarka, a były to łzy szczęścia. Zazulka śmiała się jednocześnie i powtarzała tysiące najśodszych słów, które nie miały wielkiego sensu i przypominały raczej szczebiot maleńkich dzieci. Nie przyszło jej nawet na myśl, że widok jej radości może napełnić smutkiem serce króla Mikrusa.

– Ukochana moja – rzekł Jantarek – odnajduję cię taką, jaką odnaleźć cię pragnąłem. Jesteś najpiękniejszą i najlepszą z istot na ziemi. I kochasz mnie! Bogu najwyższemu dzięki – kochasz mnie! Lecz, Zazulko moja, czy w sercu twym nie gości ani odrobina uczucia dla króla Mikrusa, który wyzwolił mnie z kryształowego więzienia? Tam, z dala od ciebie, trzymały mnie przez długie lata boginki wodne.

Zazulka odwróciła się szybko do króla.

<<rys 8>>

– Tyś to uczynił, maleńki królu Mikrusie? Kochałeś mnie i ocaliłeś tego, którego ja kocham?

Głos jej się załamał i usunęła się na kolana, kryjąc twarzyczkę w dłoniach.

Wszystkie małe ludziki, patrząc na tę scenę, ronily łzy na swoje kusze. Tylko król Mikrus był spokojny. Zazulka, odkrywszy w nim tyle wielkoduszności i dobroci, poczuła, że kocha go jak ojca. Ujawszy swego miłego za rękę rzekła:

– Kocham cię, Jantarku. Bóg jeden wie, jak bardzo cię kocham. Ale czyż mogę opuścić króla Mikrusa?

– Hola! Któż to mówi o opuszczeniu mnie? Zatrzymuję was oboje jako mych więźniów! – zawołał król Mikrus strasznym głosem.

Zrobił to naumyślnie, dla żartu. Ale w rzeczywistości nie gniewał się wcale. Wtedy Szczerogęba podszedł do niego i przyklękawszy na jedno kolano rzekł:

– Panie, upraszam, by wasza królewska mość dozwolił mi dzielić niedolę moich młodych państwa.

Zazulka poznała koniuszego i wykrzyknęła:

– To ty, mój drogi, poczciwy Szczerogębo?! Raduje mnie to wielce, że cię znowu widzę. Ach, co za szkaradny pióropusz masz na hełmie! Powiedz mi, czy ułożyłeś jakie nowe piosenki?

Po czym król Mikrus zaprosił całą trójkę do stołu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI *w którym wszystko kończy się jak najpomyślniej*

Nazajutrz Zazulka, Jantarek i Szczerogęba przywdziali wspaniałe szaty przygotowane przez karzełków i udali się do sali przyjęć. Po chwili, tak jak to obiecał, nadszedł w monarszym stroju król Mikrus. Za nim, długim szeregiem, szli jego wojownicy w pełnym uzbrojeniu i przepysznych futrach, w hełmach, nad którymi powiewały skrzydła łabędzie. Przez okna i kominki wpadały coraz to nowe tłumy karzełków, pełno ich było nawet pod ławami.

Król Mikrus wstąpił na kamienny stół, na którym zgromadzono wiele naczyń misternie wyrobionych w złocie: dzbanów, świeczników, roztruchanów i czasz. Po czym skinawszy na Jantarkę i Zazulkę, by podeszli ku niemu, rzekł:

– Zazulko, prawo naszego plemienia żąda, by cudzoziemka, która przez lat siedem przebywała z nami, po upływie tego czasu odzyskała wolność. Dziś mija siedem lat, od czasu gdy do nas przybyłaś. Byłbym złym obywatelem i występny królem, gdybym chciał zatrzymać cię dłużej. Zanim jednak opuścisz nas, Zazulko, pragnąłbym przynajmniej – skoro sam poślubić cię nie mogłem – zaręczyć cię z tym, którego wybrało twoje serce. Uczynię to z radością, gdyż kocham cię więcej niż samego siebie, a jeśli w głębi duszy została mi odrobina żalu, to żal ten jest jak nikły cień, który rozwieje myśl o twoim szczęściu. Zazulko, księżniczko Żywnych Pól i królowo karzełków, podaj mi rękę! Podaj mi także dłoń swoją, Jantarku ze Srebrnych Wyrzeży.

Połączywszy dłonie Zazulki i Jantarka król Mikrus zwrócił się do swego ludu i rzekł donośnym głosem:

– Dzieci moje! Oto biorę was na świadków, że tych dwoje przyrzeka poślubić się na ziemi. Niechaj powrócą razem do ojczyzny i niech za ich przyczyną zakwitnie tam odwaga, skromność i wierność, jak pod okiem dobrego ogrodnika rozkwitają goździki i róże.

Ledwie wyrzekł te słowa, krasnoludki zaczęły wznosić gromkie okrzyki, a że nie wiedziały, czy mają się smuć, czy cieszyć, więc miały nimi najsprzeczniesze uczucia. Król Mikrus zwrócił się znów do narzeczonych i wskazując na wazy i roztruchany, arcydzieła sztuki złotniczej, mówił dalej:

– Oto są dary karzełków. Przyjmij je, Zazulko, będą ci przypominały twych maleńkich przyjaciół. Oni ci to wszystko ofiarowują. Ja inny podarunek przeznaczyłem dla ciebie.

Nastała długa chwila ciszy. Z wyrazem bezbrzeżnej tkliwości spoglądał król Mikrus na główkę Zazulki uwieńczoną różami, którą skłoniła na ramię narzeczonego. A potem odezwał się w te słowa:

– Dzieci moje, nie wystarczy mocno się miłować. Należy jeszcze miłować się sercem pełnym dobroci. Bo choć gorąca miłość jest rzeczą piękną, miłość szlachetna przewyższa ją jeszcze. Niechaj wasze kochanie ma tyle słodyczy, co mocy. Niechaj nie zabraknie w nim wyrozumiałości i niech się do niej dołączy odrobina współczucia. Jesteście młodzi, piękni i szlachetni. Lecz jesteście ludźmi, to znaczy istotami podległymi wielu niedolom. I dlatego jeżeli w uczuciach, które macie dla siebie, nie znajdzie się odrobina współczucia, to nie będą one przystosowane do wszelkich okoliczności waszego życia, będą jak odświętna szata, która nie chroni od deszczu i wichru. Niezachwianie miłuje się tylko tych, których się kocha nawet w ich słabostkach i ułomności. Ochraniać, przebaczać, pocieszać się nawzajem – oto cała mądrość w miłości.

Król Mikrus zatrzymał się ogarnięty głębokim wzruszeniem. W końcu dorzucił jeszcze:

– Bądźcie szczęśliwi, moje dzieci. I strzeżcie waszego szczęścia, strzeżcie go dobrze!

W czasie tej przemowy Ład, Bzik, Brzdęk, Puk i Fik–Mik, uwieszeni u białego płaszcza Zazulki, okrywali pocałunkami jej ręce. Błagali ją, by nie opuszczała ich na zawsze. Wtedy król Mikrus wyjął z zanadza pierścień, którego kamień rzucał snopy iskier. Był to pierścień czarodziejski, którego moc wyzwoliła Jantarka z więzienia boginek wodnych. Król Mikrus wsunął go na palec Zazulki i rzekł:

– Przyjmij, Zazulko, z rąk moich ten pierścień, który o każdej porze pozwoli tobie i twemu mężowi wejść do królestwa karzełków. Powitamy was zawsze radośnie i udzielimy pomocy we wszystkim. W zamian za to nauczcie dzieci, które mieć będziecie, by nie gardziły żyjącym w głębi ziemi niewinnym i pracowitym ludkiem.

Spis rozdziałów

ROZDZIAŁ PIERWSZY

który mówi o zmianach na obliczu ziemi i jest jednocześnie przedmową opowiadania

ROZDZIAŁ DRUGI

z którego można się dowiedzieć, co biała róża oznajmiła hrabinie Srebrnych Wybrzeży

ROZDZIAŁ TRZECI

w którym rozpoczyna się miłość Zazulki, księżniczki Żyźnych Pól, i Jantarka, hrabiego Srebrnych Wybrzeży

ROZDZIAŁ CZWARTY

który mówi o wychowaniu w ogólności i wychowaniu Jantarka w szczególności

ROZDZIAŁ PIĄTY

który opisuje wyprawę do pustelni i spotkanie z okropną staruchą

ROZDZIAŁ SZÓSTY

który opisuje widok ze szczytu baszty zamkowej

ROZDZIAŁ SIÓDMY

w którym opowiedziano, jak Jantarek i Zazulka powędrowali nad jezioro

ROZDZIAŁ ÓSMY

w którym widzimy, jak okrutnie został ukarany Jantarek za wyprawę do siedziby wodnych boginek

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

z którego dowiadujemy się, jak karzełki uprowadziły Zazulkę

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

który wiernie opisuje przyjęcie zgotowane przez króla Mikrusa księżniczce Żyźnych Pól

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym dajemy szczegółowy opis osobliwego państwa karzełków oraz lalczek ofiarowanych Zazulce

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym skarbiec króla Mikrusa jest jak najdokładniej opisany

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym król Mikrus oświadcza się

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

w którym opowiedziano, jak Zazulka ujrzała swą matkę, ale nie mogła jej uściskać

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

w którym zobaczymy, jak wielkie zmartwienie dotknęło króla Mikrusa

ROZDZIAŁ SZESNASTY

w którym słowa uczonego Wodnika napelniają radością króla Mikrusa

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

w którym dowiadujemy się o nadzwyczajnych przygodach Jantarka ze Srebrnych Wybrzeży

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

w którym król Mikrus udaje się na straszliwą wyprawę

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

w którym opisano, kogo niespodziewanie spotkał majster Fastryga i jaką to piosenkę wyśpiewały ptaki księżnej Żyznych Pól

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

który mówi o pewnym atłasowym trzewiczku

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

który opowiada o niebezpiecznej wyprawie

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

w którym wszystko kończy się jak najpomyślniej